Rok II. Nr. 5. Kraków, 1. marca 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

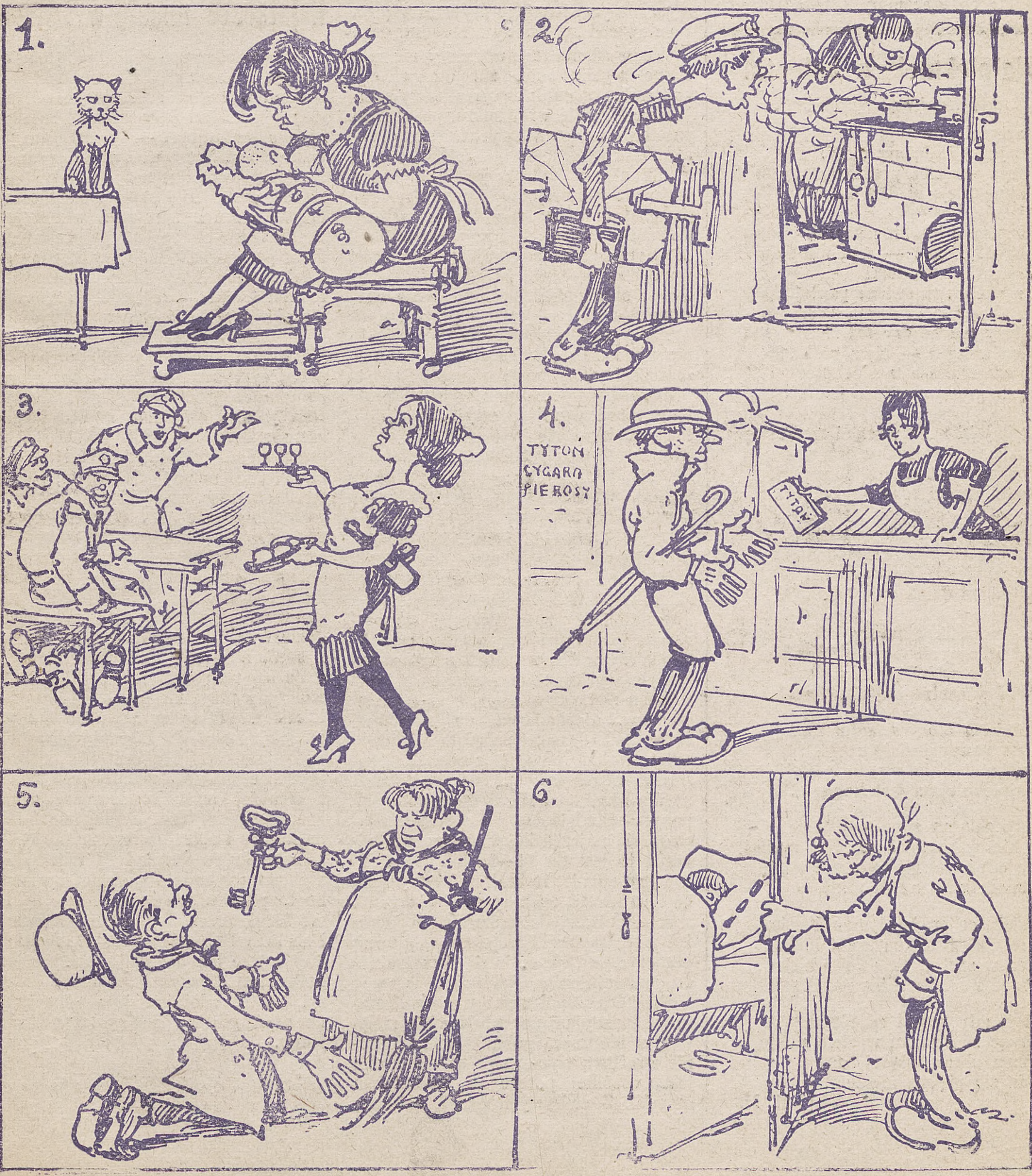
ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.

Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.



(do tekstu na str. 2-ej).

Do P. T. Prenumeratorów.

Zawiadamiamy, że każdy nowy prenumerator „Życia i powieści“ może otrzymać wszystkie numery „Życia“ od 1 października 1919, t. j. od początku, za opłatą przypadającą za kwartał, a więc pierwszy K. 12.—, drugi K. 20.— i t. d.

Zwłoka we wysyłce premij książkowych nastąpiła z powodu strajku introligatorów, dlatego upraszamy Sz. prenumeratorów półrocznych i rocznych o cierpliwość, gdyż broszurowanie książek w ten sposób opóźnione jest na ukończeniu i w najbliższych dniach wysyłkę uskutecznimy.

Najpiękniejsza kobieta.

(Do ilustracji tytułowej).

I artyści i burżuje
Do jednej zdążają mety:
Paryż przecież poszukuje
Najpiękniejszej dziś kobiety.

Rozpisano konkurs wielki,
Kogóż? kogóż — tam nie stanie?
Midinetki i modelki
I z wielkiego świata panie?...

Włosy czarne czy też złote,
Cera smagła — biała płeć...
Każda zdradza tam ochotę,
By nagrodę pierwszą mieć!...

Lecz jeśli mam wyznać szczerze
Jakie tu jest zdanie moje...
Powiem! w konkurs ten nie wierzę
Rozbieżności zdań się boję!

Jeśli spytać się stworzenia,
Co w pieluszkach nóżką fika
Tę wybierze bezwątpienia,
Która co dzień daje „mlika“.

A studencik gimnazyalny
Do miłosnych marzeń szparki
Ten typ widzi idealny
Ach! w osobie swej kucharki...

Żołnierz, który mundur nosi
I na panny śmiało zerka
Rzeknie! Iście z panny Zosi
Najpiękniejsza jest kelnerka!

Gdy palacza spytasz przecie
Z kimby pragnął on mieć randki,
To odpowie! niemasz w świecie
Ponad buzię trafikantki!

Człek, co go bezdomność nęka,
Nie wie, gdzie postawić łóżko,
Ten w zachwycie dzisiaj klęka
Przed wszechwładną panią stróżką!..

Mąż, gdy wraca zaprószony,
Drżąc ze strachu w ciele całem,
Temu obraz śpiącej żony
Zda się piękna ideałem!

M. M.

Dzieci zbrodniarze.

W ostatnich czasach wstrząsające zbrodnie nieletnich przestępców zwróciły na siebie uwagę myślącego ogółu.

Żądza posiadania pieniędzy, żądza używania za jakąkolwiek cenę życia, były głównym motywem tych potwornych wprost zbrodni.

Czy tutaj wrodzone skłonności patologiczne, czy też wadliwe wychowanie były główną przyczyną tych czynów kryminalnych?

Sądzimy, że zarówno jedno jak i drugie.

Mimowoli przychodzi nam tutaj na myśl teorya włoskiego psychiatry prof. Lombroso o „urodzonym zbrodniarzu“.

Wedle zdania tego uczonego nie spaczone wychowanie, złe otoczenie i anormalne warunki społeczne wywołują zbrodnie, ale wrodzone usposobienie patologiczne, stan zwyrodnienia organizmu.

Jakkolwiek teorya prof. Lombroso jest zbyt jednostronną i uległa też zasłużonej krytyce, to z drugiej strony przyznać musimy, że i najracyonalniejsze wychowanie ma swoje granice i nie może stworzyć nie istniejących popędów i skłonności. Może je tylko rozwinąć.

Tam, gdzie wola dziecka nie współpracuje razem z wychowawcą, ten nie zaszczepi nigdy uczuć moralnych.

Znakomity pedagog niemiecki, prof. Rein mówi w tej kwestyi: „Utarte i tak popularne słowo o „stuleciu dziecka“ wiele przyczyniło się do zdziczenia młodzieży, osłabiło ono bowiem władzę wychowawczą, a wzmocniło potęgę nieletnich.

Pisarz i prawnik niemiecki, dr. Albert Hellwig w swej niezmiernie interesującej i pouczającej książce p. t.: „Der Krieg und die Kriminalitaet der Jugendlichen“ 1916 twierdzi stanowczo, że wojna zwiększyła przestępczość młodzieży w Niemczech. I u nas w zakładzie wychowawczo-karnym w Studzieńcu zwiększyła się znacznie liczba wychow. dochodząca do poważnej cyfry 240. Jest to największa liczba, jaką zakład przyjąć może. Najczęstszem przestępstwem bywa kradzież, za nią skazano 237 wychowańców na pobyt w Studzieńcu. Przestępstwa zdarzają się najczęściej w wieku rozkwitania, to jest od 14—18 lat. Dr. Hellwig jest zdania, że brak należytej opieki ojcowskiej, brak rygoru w domu i szkole, pobudzenie nadmierne wyobraźni przez wypadki wojenne są główną przyczyną zwiększenia się kryminalności małoletnich.

Niektóre współczesne utwory literatury sensacyjnej powodują wiele złego w tym kierunku, pobudzając nadmiernie wrażliwą wyobraźnię dzieci, a ona jest właśnie potężnym czynnikiem zbrodni. Z ciekawych badań Schulzego o wpływie wojny na przebieg wyobraźni u dzieci, wynika jasno, że cały młodociany kierunek myślenia pozostaje pod wybitnym wpływem wypadków wojennych. To też na lekturę dzieci trzeba zwracać baczną uwagę; powinna ona przechodzić przez baczną kontrolę rodziców.

Wojna, wstrząsające wypadki wojenne wywołują pewne zdziczenie duszy dziecka i z tem poważnie rachować się trzeba. Wojna jest złym wychowawcą...

Najstarsze miasto w świecie.

Najstarszem w świecie miastem nazywają Anglicy Damaszek, który zdobyli w wojnie światowej. W samej rzeczy początki jego toną w zamierzchłej starożytności — i wiadomem jest tylko, że znanym już był Egipcyanom, że wspominają o nim najstarsze pisane źródła. Mimo to jest to i dziś jeszcze bogate i ludne miasto, a widok jego usprawiedliwia całkiem przyznany mu tytuł perły wschodu. Leży między górami u stóp Anty Libanu, na żyznej równinie, skrapianej siedmiu strumieniami i błyszczy w słońcu jak dyament w oprawie szmaragdów, tonąc w ciemnej zieleni owocowych sadów, wśród palm, cyprysów, platanów, brzoskwiń, pomarańcz, granatów, fig i daktyli. Dziś jeszcze środkiem miasta biegnie szeroka droga z czasów rzymskich, tasama via recta, na której święty Paweł padł rażony widzeniem, po obu stronach drogi szczątki kolumnady tu i ówdzie odgrzebane. W mieście pełno dziś jeszcze pamiątkowych zabytków, owianych czarem tradycyi i ślicznych domów, urządzonych na wschodnią modłę. Wśród mnóstwa meczetów najstarszy i największy stoi na miejscu, gdzie była niegdyś świątynia Amona, a wśród miejscowych Mostemów utrzymuje się tradycya, że tu zstąpi Chrystus, gdy przyjdzie sąd ostateczny. — U nas w Polsce za dawnych dobrych czasów, które da Bóg powrócą, cieszyły się wielkim odbytem wyroby Damasceńskiego przemysłu. Szable z cienkiej stali powleczonej złotem w misterny arabski deseń, adamaszek na kotary i obicia, wreszcie śliwki Damaszki, które stamtąd są rodem, wyszukane wschodnie pachnidła, wszystko to przywożone było obficie na nasze targi przez kupieckie karawany. Dziś liczy Damaszek 250.000 mieszkańców i jest jak dawniej ważnym punktem strategicznym jako klucz do Syryi, to też zdobycie jego poczytywano w Anglii za ważny tryumf wojenny.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

11 (Dalszy ciąg).

Nad głową jej widniało okno z grubego szkła, poprzez które wdzierał się do pokoju promień słońca. Otworzyć tego okna z wewnątrz pokoju nie było można, ponieważ odgradzała je kratka druciana.

Młoda dziewczyna wyprężyła silnie ramię, usiłując przecisnąć mosiężny pręt przez wązki otwór w kracie. Ostatecznie udało się jej to — przyczem wiatr, upływający ożywczą falą przez odchyloną szybę — porwał umocowany na końcu pręta przedmiot.

Na chwilę zajaśniała jej twarz radością... Nie trwało to jednak długo!... Wkrótce wiatr przyniósł z powrotem ów mały lekki przedmiocik, który zatrzepotał się przez chwilę nad szybą— poczem pochwyciła go wielka, gruba, czarna pięść.

Dziewczę zbladło tak, że aż jej zbielały wargi i zacisnąwszy kurczowo dłonie, rzuciło się twarzą na poduszki, jakby w nagłym przystępie rozpaczy.

Przez długą chwilę panowała w pokoju zupełna cisza. Postać kobieca leżącą na łóżku, trwała nieruchomo. Po pewnym czasie dał się słyszeć głuchy głos, który przebrzmiał wszakże bez echa, bo młoda dziewczyna żadnej nań nie zwracała uwagi.

— Panno Alicyo!

Cisza.

— Panno Alicyo Irving!

Zwolna i z lekceważącą miną podniosła się dziewczyna i udała się do tuby.

— Nie trudźcie się! — zawołała energicznie. — Powiedziałam już raz, że odpowiadać nie będę, jeżeli nadal wołać mnie będziecie tem imieniem.

— Dobrze, panno Irving! — odparł głos męski po krótkiej pauzie. — Chciałem pani tylko tyle powiedzieć, że ta mała chorągiewka, którą pani na wiatr puściła, została znaleziona... Musi pani stanowczo zaprzestać tego rodzaju prób... Zawiodą z pewnością i tylko pogorszą położenie pani!

— Czy to wszystko? — zapytała lodowatym tonem.

— Doprowadzi nas pani do tego, że będziemy zmuszeni pozbawić panią zupełnie światła, a stoły i krzesła do podłogi przygwoździć. Dachu pilnujemy dzień i noc, tak, że wysyłanie tych haftowanych liścików jest zgoła bezskuteczne. Im prędzej zgodzi się pani podpisać te papiery, tem lepiej dla pani będzie. To jedyny sposób uwolnienia się stąd.

— Nie!... nigdy!...

— Jak to, nie przekonałem jeszcze pani?

— Absolutnie, nie! — zawołała głosem pewnym i stanowczym — i nie uda się wam to nigdy! Nie podpiszę tych papierów, bo nie mam zamiaru popełnić fałszerstwa! Nie podpiszę nic, dopóki mnie tu więzić będziecie!... Jeśli jednak przewieziecie mnie do któregoś z hoteli nowojorskich, to przyrzekam, że dam wam taki okup, na jaki mnie stać i przez dwadzieścia cztery godziny nie będę się porozumiewała z moimi przyjaciółmi... Możecie być pewni, iż słowa mego dotrzymam... Ale w inne pertraktacye nie wdaję się zupełnie.

— Ależ... — próbował przerwać głos z tuby.

— Niema żadnego „ależ“. Powiedziałam raz, że się nie zgodzę na wasz łajdacki plan i wytrwam przy tem!...

Przez tubę przemawiał teraz inny głos męski o spokojniejszem, dźwięczniejszem brzmieniu.

— Panno Irving, niech pani nie wystawia naszej cierpliwości na zbyt twardą próbę. Przedewszystkiem radzę zaniechać wysyłania tych świstków, ponieważ zmusiłoby nas to do surowych środków ostrożności... Jest pani chyba zbyt rozsądna, aby nie zrozumieć, że w końcu przyjęcie naszych warunków będzie konieczne...

— Jeżeli chodzi o te „świstki“, jak je nazywacie, to niech one stanowią dla was dowód, że nie zrezygnuję nigdy z walki o moją wolność... I to wam powiem, że gdyby mnie wszyscy inni moi przyjaciele opuścili, to istnieje jednak człowiek, który o mnie nie zapomni!... Wiem, że jesteście chytrzy, ale i tak z czasem moja kryjówka stanie się wiadomą... Dlatego też nie zgadzam się i nie zgodzę na wasze żądania niegodziwe!... Moje warunki znacie. Jeszcze jedno... Gdybyście mnie doprowadzili do rozpaczy, to mogę wam zawsze figla wypłatać!... Znam jeden skuteczny środek i niezawodnie użyję go...

Przez kilkanaście minut szeptano na dole pocichu. Potem tensam głos męski rzekł:

— Jeżeli nam pani grozi samobójstwem, to dziękujemy bardzo za ostrzeżenie... Toby nam nawet ułatwiło sytuacyę... moglibyśmy wtedy dojść do celu nawet bez podpisu pani...

Młoda dziewczyna pobladła silnie, oczy jej napełniły się wyrazem przestrachu. Mimo to głos nie zadrżał, zachował tosamo mocne brzmienie. Szyderskim tonem odparła:

— Żałuję bardzo, że muszę panu sprawić rozczarowanie, szlachetny rycerzu. Nie myślę bynajmniej o odebraniu sobie życia... Co zamierzam zrobić, z tego wam oczywiście zwierzać się nie będę... Sądzę, że dosyć tej rozmowy!... Dowidzenia!...

Z temi słowy odeszła od tuby i położyła się na szezlongu.

— Ci niegodziwcy pojęcia nie mają, ile ja już takich listów wysłałam — pomyślała z pewnym tryumfem, ponieważ należała do tych szczęśliwie usposobionych ludzi, których odwaga wzrasta w miarę jak niebezpieczeństwo staje się groźniejsze...

Czy jednak znalazł kto te zahaftowane kawałki wstążki? O to właśnie chodziło!...

— Ale przecież muszą mnie szukać! Jakże to się dziać może, że oni mają się tak za pewnych siebie? Może to jest dom dla waryatów?

Ta ostatnia myśl zrodziła się w jej mózgu w pierwszym dniu uwięzienia, kiedy ją zamknięto w celi o ścianach obitych materacami. W każdym razie był to jakiś tajemniczy, celowo urządzony dom, co wskazywało, iż jej stróże więzienni nie są bynajmniej fuszerami w przestępstwie.

— Może byłabym postąpiła mądrzej, gdybym się była przyjaźniej, z większem zaufaniem zwracała do tej młodej dziewczyny, która się teraz już wcale nie pokazuje? Co się też z nią stać mogło? Z murzynką nie da się nic zrobić... Jest wprawdzie uprzejma i usłużna, przyniosła mi wprawdzie igły, jedwab do haftu i kawałki różnej materyi, ale na żadne pytania odpowiadać nie chce!... Być może dlatego, iż każde słowo wymówione tu na górze słyszą tamci na dole...

Niewola ta męką prawdziwą była dla młodego, rozpieszczonego, żywego jak iskra dziewczęcia.

I znowu myśli jej pobiegły ku tamtej dziewczynie, której nie ufała... Wszak i tamta twierdziła, że ją tutaj więżą...

— Ale za mnie nikt nie przyśle okupu — powiedziała z goryczą. — Kiedy znajdę się na wolności, spróbuję pani dopomódz, jeżeli będę mogła...

Biedna uwięziona westchnęła.

ROZDZIAŁ XIII.

Nowy punkt widzenia.

Zaraz po powrocie ze swej przejażdżki pani Daisy Parrington napisała do Toma Traddletona bilecik tej treści: „Kochany panie Tomie! Jutro rano 9.30 konno koło obelisku. Wspaniałe odkrycie! Daily P.“.

Dla pewności sama własnoręcznie wrzuciła list do skrzynki. Następnego ranka Tom Traddleton harcował na pięknym siwku koło obelisku, kiedy dał się słyszeć dźwięczny głos Daisy:

— Podoba się panu ta egipska starożytność?... No, no, pokażę ja panu zaraz hieroglify daleko ciekawsze... Tylko proszę pamiętać — dodała ciszej — żeśmy się spotkali przypadkowo... zupełnie przypadkowo... Ach! te słodkie, cudne łabędzie!... Muszę popatrzeć, jak się je karmi...

(C. d. n.).

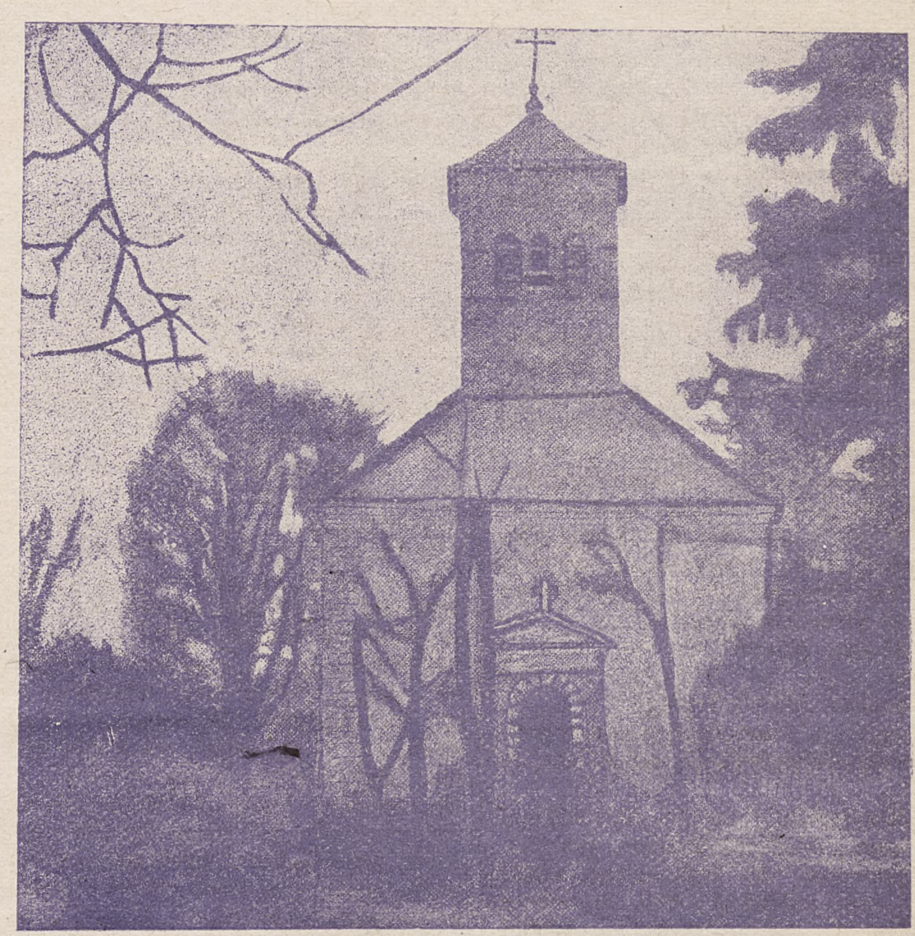
Przepowiednia ś. p. ks. Markiewicza

(Miejsce piastowe) na 12 lat przed wojną.

Od mag. farm. p. K. Prus Raczkowskiego w Potoku Złotym otrzymała Redakcya „Życia i powieści“ przepowiednię, którą na dwanaście lat przed wojną światową znalazł p. Raczkowski w Krośnie. Przytaczamy ją, zawiera bowiem liczne przepowiednie, przedewszystkiem dla nas Polaków ciekawe.

Postać nadludzka.

Pokój wam Słudzy i Służebnice Pańscy. Ponieważ Pan Najwyższy was więcej miłował, aniżeli inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście, oczyściwszy się z grzechów waszych stali się wzorem dla innych narodów i ludzi, którzy niebawem odbiorą karę sroższą od waszej w następstwie grzechów swoich. Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku straszliwie morderczą. Wojna będzie powszechna na całej kuli ziemskiej, i tak krwawa, iż naród położony na wschód Polski wyginie wśród niej zupełnie. Groza jej będzie tak wielką, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: **głód, mór na bydło i duże zarazy na ludzi**, które więcej ludzi pochłoną, aniżeli wojna sama. Ujrzycie zgliszcza, gruzy naokół, tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba. W końcu wojna stanie się religijną: walczyć będą dwa przeciwne obozy, **obóz ludzi wierzących w Boga i obóz niewierzących w Niego.** Nastąpi wreszcie **bankructwo powszechne, i nędza jakiej świat nigdy nie widział** do tego stopnia, iż wojna sama ustanie z braku środków i sił. Zwyciezcy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli i wtedy niewierni uznają, że Bóg rządzi światem i nawrócą się, a pomiędzy nimi wielu żydów. Wojnę powszechną poprzedzą **wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie na całym świecie.** Wy, Polacy, przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni nietylko będziecie się wzajem wspomagali, nadto **poniesiecie ratunek innym narodom i ludom nawet wam niegdyś wrogim.** I tym sposobem **wprowadzicie dotąd nieznane braterstwo ludów.** Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary; wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczytne stanowiska na kuli ziemskiej. Języka waszego będą się uczyć w uczelniach na całym świecie. **Austrya rozpadnie się, a potem na wzór Austryi ukształtują się inne państwa.** Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża. Ufajcie przeto Panu, bo dobry i miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy jest. On pokornych podwyższa i im łaskę dawa, a pysznych poniża i odrzuca na wieki. Szukajcie przedewszystkiem królestwa niebieskiego, dóbr duchowych, które trwają na wieki, bo co nietrwa na wieki nie jest dobrem prawdziwem. I tym sposobem zapełnicie niebo, a na tej ziemi znajdziecie szczęście. Polacy, Bóg żąda od was nie walki, jaką staczali najlepsi ojcowie wasi na polach bitew w chwilach stanowczych, ale bojowania cichego, pokornego, a znojnego na każdy dzień szczególniej przeciw nieprzyjaciołom dusz waszych; żąda od was walki w duchu Chrystusowym i w duchu świętych Jego. On chce od was, abyście, każdy na swojem stanowisku wiedli przedewszystkiem bój bezkrwawy. Tylko pod tym warunkiem dostaniecie się do nieba, a w dodatku zajmiecie na tej ziemi świetne stanowiska pomiędzy narodami. Pokój wam!



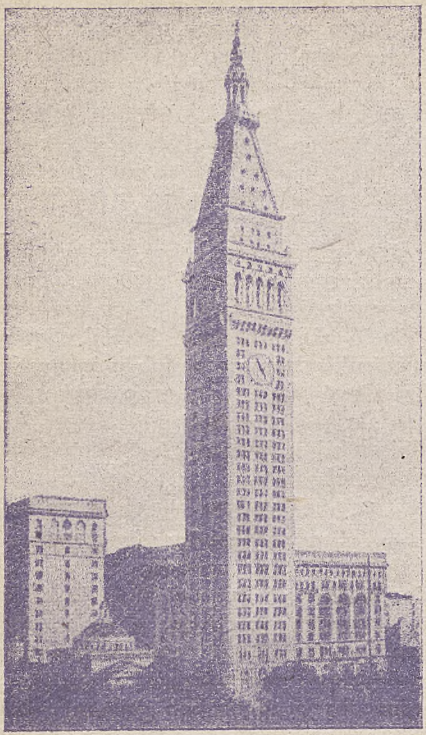
Cud czy złudzenie optyczne.

Kościół w miasteczku w Noveant.

W miasteczku francuskiem Noveant dep. Mozeli, pewna kobieta, idąc do kościoła tamtejszego, zobaczyła na drzewie wyraźnie figurę Matki Boskiej. Przestraszona i zachwycona tem zjawiskiem, udała się natychmiast do miejscowego proboszcza i zawiadomiła go o cudzie. Rzecz stała się głośna. Niebawem cała parafia, później i dalsze strony, aż skończyło się na tysiącach ciekawych, zbiegło się zewsząd, aby zobaczyć cud na własne oczy. Ale proboszcz miejscowy był rozsądniejszym od tłumów, a także i spekulantów, jacy w tych wypadkach radzi zawsze korzystać ze sposobności. Dzięki temu stwierdzono, że kontury kościoła i gałęzie sąsiadujących z kościołem drzew, obecnie z liści ogłocone, tworzą na pewną odległość rodzaj sylwetki, która posiada pewne podobieństwo do figury kobiety z dzieckiem. Ale przystąpiwszy bliżej, złuda się rozwiewa i okazuje się, że to mniemane zjawisko jest dziełem przypadku zestawienia i sformowania pewnych linii drzew z murem kościelnym. O cudzie nie może być mowy.

Wszystko to nie przeszkadza, że ani rozsądek księdza, ani perswazye nie poskutkowały i że na miejsce mniemanego cudu zbiegają się do Noveant tłumy ciekawych gapiów. W tym konkursie ciekawości nie pozostała w tyle i prasa francuska, a ilustracye paryskie wysłały na miejsce fotografów i współpracowników, którzy stwierdzili, że cud mniemany jest iluzyą fanatycznej dewotki i złudzeniem optycznem.

Amerykańskie „drapacze chmur“.



Słynny gmach „Metropolitan“ w Nowym Jorku (tarcza zegara wysoka na 3 piętra).

Wiecznie to samo.

Że jest pożyteczny —
Człek zabija wołu,
Gwoli wyższej racyi:
Mięsa i rosołu.

Człek zabija wilka,
Bo wilk jest szkodliwy.
Przytem ciepły kożuch
Łupi zeń myśliwy.

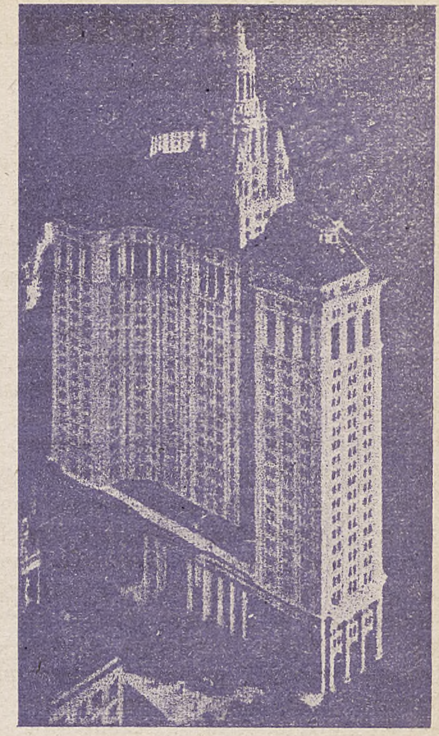
Sarnę — bo bezbronna,
Gdy się strzela do niej.
Niedźwiedzia dlatego,
Że się właśnie broni.

Kurczęta — bo kruche,
Ledwie łazić zaczną.
Pchłę za to, że gryzie.
Świnię — bo jest zmaczną.

Motyla — bo piękny.
Węża — bo szkaradny. —
Człek zabija człeka
Bez przyczyny żadnej!...

Kruk.

Amerykańskie „drapacze chmur“.



Gmach Woolwortha, w którym może pracować 10.000 ludzi.

JAN V. JENSEN.

Serce które, uciekło.

Legenda.

Leżał człowiek i walczył ze śmiercią, pielęgniarki stały dokoła łóżka, bezsilne, a lekarz zbierał w milczeniu swoje narzędzia i potrząsał głową. Już się tu pomoc na nic nie zdała.

Konający trwał w wielkim niepokoju, pocił się silnie i rękoma macał po kołdrze, ustami chwytał powietrze — a śród ciszy, panującej dokoła, słychać było twarde i szybkie bicie serca w piersi, niby uderzenia młotem.

Nareszcie nadszedł koniec, chory rozwarł usta w najwyższej męce, serce wyskoczyło z piersi — i w tej samej chwili pacyent opadł, uśmiechnął się, doznał ulgi. Umarł. A serce zeskoczyło z łóżka na ziemię.

Pielęgniarki pobiegły, by je złapać, lekarz usiłował je schwytać obcążkami, ale serce skakało tak żywo, że nie zdołali go dosięgnąć i w końcu jednym susem wypadło przez otwarte okno na ulicę.

Tu omal nie przejechał go nadjeżdżający właśnie tramwaj. Pasażerowie wyciągnęli szyje, ciekawi wypadku, ale tramwaj potoczył się dalej ze zgrzytem, a ludzie zobaczyli tylko serce, omal, że nie przejechane.

Serce skakało dalej po szynach, ale zaledwie dotarło do chodnika, napadł na nie pies, który przypędził ze zjeżoną sierścią i ślepiami, pałającymi żądzą mięsa — w tejżesamej wszakże chwili nadleciał pies inny rzucił się na pierwszego, a gdy się tak szamotały o zdobycz, serce przeskoczyło przez żelazne kraty, ostre jak dzidy, i dostało się do parku. Bawiło się tam grono dzieci w piasku; na widok serca podniosły wielki krzyk i dalejże bić je łopatkami; ale serce minęło dzieci jednym skokiem i wpadło do stawu parkowego.

Płynęło z wielką zręcznością, nie przestając bić — jedną stroną wchłaniało wodę a drugą ją wyrzucało; w ten sposób posuwało się dalej i niebawem znikło pod powierzchnią. — W głębi stawu pływały leniwe karpie, na widok serca pootwierały pyski i chciały je pożreć, ale było za duże. Serce zaś dotarło do samego dna stawu i tam przeleżało spokojnie dopóki nie zapadła noc.

Gdy kto był zwrócił uwagę na staw parkowy owej nocy, byłby widział, jaki wielki w toni panował niepokój. Migocąca powierzchnia podnosiła się i opadała, jak gdyby cała woda ze stawu chciała wzbić się w górę, staczała się z powrotem i na nowo wznosiła się całą masą. Zdało się, że wodzie brak tchu. A to serce leżało na dnie i drgało.

Skoro wszakże wozy jechać przestały, a miasto uciszyło się tak, jak miasto uciszyć się może w godzinie jutrzenki, serce odważyło się wypłynąć ze stawu na ulicę i poskoczyło dalej, jak mogło najprędzej.

W tej porze wędrowały po ulicach szczury, niby kłębki toczyły się wszerz i wzdłuż po pustym asfalcie; ujrzawszy serce, stanęły na tylnych łapkach, wyszczerzyły lśniące zęby i dalej w pogoń — ale serce było od nich szybsze.

Grono przechodniów nocnych, dziewczyna i dwaj ochrypli młodzieniaszkowie, ujrzeli pędzące obnażone serce, które biło widocznie i roześmieli się, a śmiech ich rozbrzmiał odgłosem grzmotu po ulicy, budząc głośne echo w pustych dzielnicach — rozbawieni byli i weseli. Z bocznej ulicy dochodził odgłos, jakby chodu wahadła wielkiego sennego zegara po płytach kamiennych — to stukały tak podeszwy policvanta. A wszystkie domy wytrzeszczały, niby ślepia, nieskończone szeregi czarnych zamkniętych okien.

Serce podskakiwało coraz dalej i dalej, aż w końcu dotarło do portu i rzuciło się z bulwaru w zieloną toń, gdzie odrazu uczuło się jak w domu. Płynęło jak gwiazda morska, jak meduza, silnymi uderzeniami. Wtłaczało się coraz niżej i dalej, aż niebawem dostało się do głębi i popłynęło drogą do oceanu.

Dniem i nocą porusza się morze niespokojnie pulsującym rytmem, który wyrzuca falę po fali na wszystkie wybrzeża lądu stałego. A morze udziela tego rytmu ziemi, który tu wprawia powietrze w drganie, bije aż pod niezdy. A czy wiecie co to jest?

To serce, które spoczywa na dnie morza i bije — tak bić będzie wiecznie.

PIERRE LOUYS.

Nowożytna rozkosz.

Przełożył Jan Sobota.

I.

Przed czterema lub pięciu laty, przepędzałem większą część dni tygodnia w niewygodnym, lecz ukrytym przed ludzkiem okiem zakątku, przy jednej z ulic, której róg graniczył z małym parkiem Monceau. Okoliczność ta nie miała jednakże dla mnie znaczenia, gdyż bramę parku zamykano wieczoru każdego przed północą, właśnie w tym czasie, kiedy przechadzka na świeżem powietrzu połączoną jest z największą przyjemnością.

Gdy znów się tam nocy pewnej znajdowałem, prowadząc milczącą rozmowę z dwoma kotami z niebieskiej porcelany tkwiącymi na jednej z etażerek, wahałem się w wyborze dwóch rozrywek samotnika: napisania wielozgłoskowego sonetu i palenia przytem papierosów, lub palenia papierosów i oglądania równocześnie malowidła tapetów.

Najważniejszą rzeczą w podobnych warunkach — jest papieros w ustach. Należy przedmioty osnuć błękitną, delikatną mgłą, która osłoni światła i cienie, złagodzi ostre kontury i na skrzydłach swego powiewnego czaru, uniesie ducha w dal, w tajemną krainę marzenia.

Wieczoru owego zamierzałem pisać i zarazem nie czułem ku temu ochoty. Innemi słowy, był to wieczór podobny wielu innym, które wedle przeznaczenia kończyć się zwykło nad arkuszem białego papieru i popielnicą pełną niedopałków papierosów, gdy nagle z marzeń moich wyrwany zostałem gwałtownym i niespodzianym dźwiękiem dzwonka.

Podniosłem głowę. Byłem pewien, że v piątek, 9 czerwca, nie powinienem oczekiwać niczyich odwiedzin i to o tak późnej porze. Ale gdy za chwilę po raz drugi zadzwoniono, poszedłem ku drzwiom i odsunąłem zasówkę.

Skoro drzwi otworem stanęły, ujrzałem przed sobą jakąś postać niewieścią.

Odzianą była w suto fałdowany płaszcz z zielonego sukna, skrojony na wzór płaszcza do podróży, jednakże zdobny naszyciami, jakby okrycie teatralne. Naokół szyi rozkładał się szeroki kołnierz koronkowy, z pośród którego wychylała się główka o złotawych włosach. Twarz była młoda, zmysłowa, o wyrazie lekko ironicznym, z dwojga czarnemi jak węgiel oczyma i bardzo różowemi usty.

— Czy pozwolisz mi wejść? — spytała — przechylając główkę w bok.

Cofnąłem się z podziwem człowieka, który o tak późnej porze, w której tylko przyjmować się zwykło swoje najserdeczniejsze przyjaciółki, widzi u siebie kobietę nieznaną, przemawiającą doń poufale.

— Droga przyjaciółko — rzekłem — znalazłszy się z nią w pokoju, — droga przyjaciółko, daruj mi: wprawdzie poznaję cię, jednakże fatum jakieś staje mi na przeszkodzie, gdyż przypomnieć nie mogę sobie twego imienia. Czy nazywasz się Lucyaną lub też Totottą?

Uśmiechnęła się znacząco i nie odpowiadając, zdjęła okrycie. Ubranie jej było z blado zielonego jedwabiu, zdobne wielkimi irysami, wszytymi w tkaninę, których łodygi oplatały wokół ciało aż po czworoboczne wcięcie pod szyją, dozwalające ujrzeć młode piersi. Na każdej ręce nosiła mały, złoty, naramiennik, w kształcie węża z oczyma ze szmaragdu. Podwójny sznur wielkich pereł błyskał na jej ciemnej skórze, osłaniając osadę ruchliwej i pięknie utoczonej szyi.

— Poznajesz mnie? — rzekła — ponieważ widziałeś mnie we śnie. Jestem Kallisto, córka Lamii. Ośmset lat grób mój pozostawał w spokoju, pośród kwitnących lasów dafnijskich, w pobliżu pagórków, na których rozsiadła się rozwiązła Antyochia. Lecz w czasach dzisiejszych podróżują groby. Przewieziono mnie do Paryża, a cień mój towarzyszył kamiennej urnie, która popioły moje kryje. Spałam jeszcze czas długi, zamknięta w mroźnych piwnicach Luwru. I dotąd byłabym tam, gdyby nie wielki poganin, a człowiek skromny, imieniem Louis Ménard, jedyny, który pamiętny dziś jeszcze boskich zwyczajów i zaklęć, przed sarkofagiem moim wyrzekł tradycyjne słowa, które biednym zmarłym nocą chwilowe powracają życie. Siedm godzin nocy każdej przebiegam to brudne miasto...

— Ach, biedne dziewczę! — przerwałem jej — jak zmienionym musisz znajdować świat!

— Tak i nie! Domy wydają mi się posępne, ubiory brzydkie, niebo smutne. Widzę, że życie głupszem jest i że ludzie wyglądają na mniej szczęśliwych. Lecz co mnie wprost wprawia w zakłopotanie to to, że na każdym kroku po raz drugi spotykam te rzeczy, które znałam. Jakto? W ciągu ośmiuset lat, nie uczyniliście nic więcej nad to tylko? Nic nowego, nic lepszego! Zaprawdę nic? Com ujrzała na ulicach waszych, w domach waszych, na waszych połach, to jest wszystko, zaprawdę wszystko? Co za nędza, przyjacielu mój.

Zdawała się podziw, który w oczach mych czytała, brać za odpowiedź, gdyż ciągnęła, śmiejąc się, dalej.

— Widzisz, jak ja odziana, noszę suknię, którą dano mi do trumny. Przypatrz się jej. Za mych czasów używano jako okrycie materyi wełnianych, perkalowych lub jedwabnych. Powróciwszy na ziemię, sądziłam, że wszystkie te tkaniny nawet z pamięci ludzi zniknęły. Przedstawiałam sobie — wybacz mi! — że ludzie wynaleźli materye tak cudne, jak słońce lub księżyc i milsze w dotknięciu, niźli skóra dziewczyny lub owocu. Lecz nie; w co się ubieracie? W wełnę, nici, jedwab. O! wiem, odkryliście bawełnę i w nią stroicie murzynów. Czy lubisz bardzo bawełniane okrycie? Czyś dumny z wynalazku tego? Czy pochwalić możecie się materyą, któraby wdzięczniej układała się w fałdy jak wełna? Nie! Czyż macie materyę, która delikatniejszą jest niżeli płócienna, świetniejszą niźli jedwab?... Odpowiedz mi nakoniec!

A gdy milczałem — ciągnęła dalej.

— Za mych czasów odziewano nogi w skóre. Znano pantofle, barwne obuwie, berlacze i buty z cholewami. Wasze trzewiki sportowe, z nieco wyżej poza kolana sięgającemi cholewami są frygijskiego pochodzenia. Przypatrz się moim. Są z oliwkowo-zielonej skóry, złotem oprawne. Oglądnij je: nawet u dostawców przyjaciółek twoich nie znajdziesz tak pięknych.

Po chwili ciągnęła:

— Za mych czasów do sporządzania ozdób używano dwu szlachetnych kruszczów: złota i srebra. Czy wynaleźliście trzeci? Wyrabiano z nich naramienniki, kulczyki, diademy. Na Rue de la Paix wszystko to odnalazłam. Znaliśmy perły, szmaragdy, dyamenty, opale, rubiny, szafiry i różnokolorowe kryształy niegdyś jak i dziś z Arabii sprowadzane. Czyście w przeciągu tych ośmiuset lat stworzyli jaki kamień szlachetny? Wymień mi, jeden choćby, proszę cię; jeden jedyny, któregobym nie znała, nie nosiła na mym palcu.

Głos jej ożywiał się stopniowo, nabierając złośliwych i wyrzutów pełnych dźwięków.

— Kallisto — powiedziałem spokojnie — zdajesz się ozdobom, w które kobiety stroić się zwykły, nadawać zbyt wielkie znaczenie. Po dziesięciotysiecznych nadaremnych usiłowaniach, którym wszystkie narody się oddawały, przekonano się, że młode dziewczę sztuka szewca, krawca i złotnika nie stanie się nigdy piękniejszem, aniżeli jest w owej chwili, gdy ukaże się światu nagiem, jak je bogowie stworzyli. Nie wątpię, że Grecy strój ten bez osłonek znali.

— Lepiej, niźli twoi współcześni.

— Wyście go nie wynaleźli, nie bądź dumną z tej przyczyny. W wieku naszym o wiele więcej podziwiać się zwykło piękność ciała kobiecego, niżeli czyniono to w owych czasach, w których tyś urodzoną. Nie zwykłem się smucić nieudaniem się czegoś, co wiecznie istnieją, gdyż jest niezmiennem, Zadowalniam się tem, że kobiete

podziwiać mogę w jej pierwotnej czystości i tem jestem zachwycony, podobnie jak ci, którym dane było oglądać Helenę.

Ona nachyliła się ku mnie i rzekła z lekkim przyciskiem:

— A czy i tego pewien jesteś, że kobiety się nie zmieniły?

II.

Nie jestem pewien, czy w zmieszaniu, w jakiem się wówczas znajdowałem, rzeczywiście widziałem to, co ona, powiedziawszy te słowa czyniła.

Jak okładała pierścienie, odpinała naramienniki, zrywała naszyjnik i szaty zdejmowała, ciężkie sploty włosów rozwiązując: opisać tego nie jestem w stanie. Wszystko tak szybkiem i nagłem było, że w pamięci mej pozostało jako niejasne majaczenie senne.

Dotychczas nie wierzyłem, aby przygoda ta rzeczywistością była.

Zdawałem sobie już od godziny pytanie, czy nie padłem ofiarą oszustwa jakiejś histeryczki. Zapewne musi to być jakaś nieznajoma — myślałem, która na tyle jest bezwstydną i odważna, aby nocą wśliznąć się do sypialni, do której jej nikt nie wzywał. Teatralnym swym strojem usiłuje ukryć cel rzeczywisty, który ją tutaj sprowadził. Moje odpowiedzi zmierzały w tym kierunku, w którym sama mnie wiodła; grałem rolę mężczyzny, który jużto z ciekawości, jużto z delikatności nie pragnie zbyt szybko porwać tkaniny żmudnie i z talentem obmyślanej intrygi. Lecz zaledwie tylko nagą mi się ukazała, pojąłem, że przybyła ku mnie z przeszłości wieków. Oparłem się o poręcz krzesła, aby nie paść na kolana i patrzałem na nią uchyliwszy głowy z uczuciem świętokradzcy, jak gdyby nie wolno było podziwiać tak cudownej osoby temi samemi oczyma, któremi się spoglądało na żyjące kobiety. Nigdy przedtem nie czułem się tak dalece zmieszany.

Kallisto była wysoką. Ciało miała gibkie a okrągłe. Biodra szerokie, nogi bardzo długie. W ruchach jej przebijał się czarowny wdzięk, a muskularne członki zdradzały delikatne kości. Gładka lśniąca jej skóra błyszczała, jakby dopiero co wyszła z kąpieli: śniadą była o jednostajnym odcieniu, prawie czarna na brodawkach piersiowych i na brzegach powiek. Z trudnością mógłbym dowieść, dlaczego piękność istoty owej w klimacie naszym i za naszych czasów mogłaby uchodzić za doskonałą: albowiem twierdzenie moje opierałam nie na jakiejś zalecie pojedynczej części jej ciała, lecz na harmonii, a zapewne na wdzięku całej istoty. Aby podać różnicę pomiędzy nią a kobietami naszych czasów, musiałem się oprzeć raczej na zmyśle mym krytycznym, aniżeli na jakimkolwiek dowodzie, podobnie jak często zbieracz odróżnia klejnot prawdziwy od imitacyi nie mogąc podać jednak cech je różniących.

Prawdopodobnie w tym też celu, bym ją mógł lepiej podziwiać, położyła się na szezlągu.

— Powinniście byli przynajmniej uszlachetnić kobiety — podjęła dalszą rozmowę, śmiejąc się. — Jak widzisz rasy skarlały. Dlaczego lekarze wasi, którzy lekceważą naszych twierdzą, że przyjaciółki twoje mniej są piękne, niżeli były siostry moje? Przecież ziemia samej siebie nie pochłonęła? Jeszcze dotychczas zstępuje Orontes ze szczytów gór Cedru w doliny. Smyrna jeszcze żyje. Sparta umarła, lecz zmartwychwstały Ateny. Próżny i znikomy wieku! dlaczego zastępujesz mieszkanki Jonii zbieraniną Lewantu i dlaczego stworzyłeś i hodujesz w cierpieniach twych dziwne rasy kobiet, jakeś wyhodował różnorakie róż krzewy? Wysiłki wasze w tym kierunku są podobne wysiłkom dziecięcia. Potęga, którą myśmy władali, była potęgą bogów.

Gdy to mówiła (nie czułem się na siłach dysputować z nią) trwoga ogarnęła mnie. Drżałem na myśl, że kobieta owa opuścić mnie nagle może, jak istota powiewna, jako świetlane „nic“ i zadawałem sobie pytanie, czy tylko oczy moje ogarnął szał, oglądania w niej żyjącej istoty, czy też i palcami mógłbym dotknąć skóry jej ramion.

— Pójdź — rzekła — śmiejąc się, nie jestem cieniem, podaj mi rękę.

I w chwili, gdy układała na szezlągu członki swoje otoczyła mem ramieniem swe ciało, które rozkosznie oparło się o me palce.

Następnie rozpoczęła dalsze zwierzenia.

— Tysiąc lat temu, zanim żyłam, łączyli się mężczyźni z kobietami podobnie jak capy z kozami. Czytałeś Homera? Ani Argos, ni Troja, nie znały innych rozkoszy nad brutalny ów akt, którym zadowalają się dzikie zwierzęta. Bryzejda nie znała pocałunku w usta. Nigdy Andromacha nie podawała piersi swych innym ustom, jak tylko dziecku swojemu. Nigdy delikatna i miękka dłoń, nie wywołała pieszczotą rozkosznego drżenia bioder Heleny, jakie wywołuje dłoń mężczyzny.

Przymknęła oczy i ciągnęła dalej.

— Starożytny wschód, gdzie się urodziłam, wydarł bogom jak niegdyś ogień, dar jedyny, który ich odróżniał od ziemian — rozkosz.

O piękne dni namiętności! O młodości świata!

Po raz pierwszy usta mężczyzny i kobiety rozkoszowały się sobą. Potężny, płomienny duch Afrodyty ogarnął kochanków i dzień w dzień nowa rozkosz zstępywała z błękitnego Olimpu. Był to szał: od Babilonu, ku górze Eryx skojarzyły się wszystkie wonie, wszystkie tkaniny jedwabne, kwiaty wszystkie, wszystkie sztuki i wszystkie kobiety, zawodząc hymn tryumfalny w hołdzie rozkoszy. Młode dziewczęta, wyzwolone z barbarzyństwa, świadome potęgi zmysłów i swych namiętności w nozdrza swe wchłaniały zapach róży, oddając ciała czarowne ustom. Przez lat setki pomnarzano rozkosz nowymi skarbami. Jeszcze za mych czasów zajmowały się tem kobiety z Antyochyi i Alexandry. Ja sama, Kallisto, córka Lamii, którąm to wynalazła...

Ja jednakże cofnąłem się.

Ona śmiała się.

— Ach! boisz się? Dobrze! mów ty tedy! Słucham. Jaką nową rozkosz nieznaną wynaleźliście w ciągu tych dziewiętnastu wieków, które przespałam w grobie? Żądałam przedtem od ciebie perły nowej; obecnie żądam od ciebie pieszczoty, której jeszcze nie zaznałam. Od tak dawna musiano bezprzecznie wynaleźć nowe rozkosze. Spodziewam się, że nauczysz mnie ich.

Mówiła ironicznie i z pewnością siebie, a ja z łatwością poznałem, że podczas swych długich wędrówek po mieście, nadaremnie szukała nowych podniet miłosnych. Nie miałam najmniejszego zamiaru w tym kierunku być jej mistrzem.

— Bądź cierpliwą — odpowiedziałem tylko. — Życie tem rozpoczęliśmy, żeśmy o wszystkiem, co niegdyś istniało — zapmnieli. A teraz po raz drugi poczynamy wszystko zapomniane — odkrywać. Nazywa się to historyą nowożytnej cywilizacyi. W niewiele lat po twej śmierci, dotknęły świat nieszczęścia, nie dające się niczem powetować. Przedewszystkiem zjawienie się i krzewienie się niezwykle szybkie religii pewnej, która była zrazu dla ludzkości błogosławieństwem, w końcu jednakże sprytni Izraelici przez zręczne a nieuczciwe nadużywanie jej zniweczyli wszelkie nabytki kultury twego plemienia. Potem barbarzyńcy zalali kraj twój. A gdy skutkiem zepsucia obyczajów zwątlała spoistość budowy pokolenia Judy, wdarły się do wnętrza jej szczury i zniszczyły ją. Trwało to tak aż do owego dnia, w którym ze wschodu rozbitki, a z Konstantynopola książki nowe przybyły. Sto lat spotrzebowaliśmy do przeczytania tychże. Od czasu, kiedy je zrozumiano zaledwie lat trzysta upłynęło. Możliwie jednakże, że obecne stulecie naszym będzie czasem. Bądź cierpliwą Kallisto!

Ona uśmiechnęła się drwiąco.

— Czy zdołasz odnaleźć — zapytała — w perganiinach twoich muzeów, podania z Rodope? Czy wasi archeologowie, którzy tak dokładnie zaznajomili się z polityką Peryklesa i strategią Alexandra, potrafią wskrzesić wiedzę Aspazyi i Tais? Czy wiadomem wam,

że grób, w którym spoczywa proch pięknej Fryne ukrywa w sobie tajemnicę na wieki minionej rozkoszy?

— Podanie to, znane mi jest. Chcesz je poznać. Tobie je wyjawię.

III.

Jakkolwiek owe młode dziewczęta, które czytać będą te wspomnienia, ogarniać będzie ciekawość, co potem nastąpiło, wyjawić tego nie będę wstanie: przedewszystkiem dlatego, ponieważ na podstawie zwierzeń Kallisto napisałem już powieść p. t. „Afrodyta“, a po drugie wstrzymuje mnie i ta okoliczność, że nie lubię opowiadać osobistych wrażeń tej nocy, pełnej szału.

Około południa Kallisto zeskoczyła z łóżka. Pełnym wyrzutów tonem zauważyła, że słońce już dawno wstało, a my nie spostrzegli tego, oślepieni światłem płynącem z kinkietów.

— Nie jesteście wstanie uszanować nocy, obcą już jest wam jutrzenka ranna — rzekła posępnym głosem. — Dawniej widok jasności poranku był nagrodą długiego, wyczerpującego czuwania nocą. Dziś przepędzacie życie wasze w sztucznem świetle i nieznaną wam jest piękność wschodzącego słońca.

Ogarnął mnie niepokój.

— Południe.... Ależ mówiłaś mi przecie, że życie twe ograniczone tylko na nocną porę. Jak tedy możesz obecnie jeszcze tutaj przebywać?

— Istnieje pomiędzy mną a Persefoną pewien układ — rzekła uśmiechając się dziwnie. — Pomówmy. Nie wyczerpałam jeszcze całego tematu.

Byłem nieco zmęczony i zdenerwowany.

— Dosyć — rzekłem — proszę cię... Mówmy o sobie; czy chcesz? Zostawmy świat jakim jest. Tobą tylko pragnąłbym się zajmować.

— A mimo to — posłuchaj. Nie jesteś jeszcze przekonany: będę mówiła w dalszym ciągu aż mi przyznasz słuszność. Zaprawdę — przychodzę z drugiego świata. Powinnam była pozostać w grobie moim i śnić dalej o piękniejszych czasach, w których niegdyś żyłam. Pragnieniem mojem jest — opowiada komukolwiek, z jakiem rozczarowaniem zakończam wędrówkę po mieście i że gniewam się na stulecie twoje, które nie dało mi tych niespodzianek, o jakich marzyłam. Świat jest podobny młodemu człowiekowi, po którym spodziewano się wiele, a który wszystkich zawiódł.

— Nie wiem... Lecz zdaje mi się, że my, od twojej śmierci wiele myśleli i wiele stworzyli. Stulecia, w którem żyjemy, nie należy lekceważyć.

— A mimo to, mimo to... Trochę, z powodu jego ubóstwa, a jeszcze więcej z powodu próżności. Nie — wy nie myślicie, ani też nie tworzycie. Jesteście Fenicyanami, zdolnymi tylko do naśladowania wzorów nie przez was wymyślonych. Żyjecie tylko naszym cieniem.

— Przejdź się tylko ulicami Paryża. Wszędzie napotkasz ślady naszego nieśmiertelnika ducha: za barbarzyńskich wieków średnich różnorakie budowle, o małej wartości artystycznej, które dzięki bogom, obecnie już w proch się rozsypują, wy ludzie czasów najnowszych nie zdołaliście nic nowego stworzyć, powróciliście tedy do naszych ruin i od czterystu lat z gruzów naszych świątyń układacie mozajki waszych podłóg. Na wzór rzeźb, odkrytych na jednej z kolumn, znalezionej w Sycylii, ozdobiliście dwa tysiące kościołów waszych i tyleż dworców kolejowych. Armaty sporządzacie na wzór kolumny Trajana, a sale koncertowe budujecie wedle stylu korynckiego. Po nas, którzyśmy nauczyli was gładzić marmur i przetapiać bronz, nie wynaleźliście nic, ani kamienia żadnego, ani żadnej mieszaniny chemicznej, którąby godniejszą była do naśladowania ludzkiego ciała.

Wzięła do rąk dwie książki ze szafki bibliotecznej i rzuciła je na dywan.

— Myśl wasza, podobnie jak wasza sztuka żywi się spadkiem po nas. Nie Deskartes, lecz Permanides powiedział: Myślę — więc jestem. Nie Kant, lecz również Permanides twierdzi, że myśl utożsamia się z przedmiotem myśli. W owe dwa zdania wciśnięto wasze nowożytne szkoły i dotychczas nie mogą wyzwolić się z nich. Wszędzie, gdzie wiedza wasza jest ogólną, to znaczy filozoficzną, opiera się dziś jeszcze na fundamentach przez nas położonych. Nauki Enchidesa po wsze czasy ustaliły niezmienne prawa linii. Archimedes zajmował się o wiele prędzej rachunkiem różniczkowym, niźli wasz Leibnitz, który metafizykę ma nam do zawdzięczenia. Zamiast łamać sobie głowę nad upadkiem jabłka z drzewa, ten przez was tak ubóstwiany Newton, powinien był się ograniczyć na przeczytaniu pism naszego Arystotelesa, który już przed 2000 laty teoryę swoją o ogólnem prawie ciążenia był wygłosił.

Byłem wyczerpany.

— O! Kallisto — błagałem — usłysz moje lotne słowa; tyś zanadto uczona. Słyszałem wprawdzie, że kobiety starożytności odznaczały się niezwykłym rozumem, lecz nie to czyniło tak powabnemi. Czar kobiety wzrasta z chwilą, gdy milczy — niestety, wiedzą o tem tylko mężczyźni.

Czekała spokojnie, dopókim nie skończył; następnie, uśmiechając się zwycięsko rozpoczęła dalej:

— Bądź co bądź, od 2000 lat nie wynaleźliście nic, a nic, nawet...

— Odkryliśmy Amerykę — przerwałem jej cierpliwie.

— To nie prawda.

— Kallisto, nie mów niedorzeczności!

— Powtarzam i przy tem wytrwam, że Ameryka odkrytą została przez Arystotelesa. Nie jest to twierdzeniem nieuzasadnionem, lecz historycznym pewnikiem. Arystoteles wiedział, że ziemia jest okrągłą i radził (możesz o tem przeczytać w pismach jego) szukać drogi do Indyi, płynąc na zachód. Kolumb posłuchał tej rady. Sława wynalazku przysługuje głowie, która go wymyśliła, a nie głowie, która go wykonała.

— Ale wkońcu przyznać jednakże musisz, żeśmy odkryli planetę Neptuna!

— I cóż więcej? Oryginalne. Od wczoraj błagam cię, byś mi jakąś nową rozkosz odkrył, której nie znam, drogę do szczęścia nieznaną wskazał, moc podał, którąby tryumf nad smutkiem odniosła — a ty mi mówisz o Neptunie. Rozkoszy pragnę, rozkoszy. Rozkoszy ducha lub rozkoszy zmysłów, obojętnem mi to; czyż mam powracać na pola elizejskie, nie zaznawszy nowej, nieznanej mi rozkoszy?

Zrezygnowany umilkłem.

— Czy chcesz? — zapytałem.

— Co?

— Pytam się, czy chcesz papierosa? Zapewne i ów pochodzi z Grecyi od Arystotelesa?

— Nie — tego nie twierdzę. Dodać muszę, że nieznaną była nam owa głupia namiętność polegająca na napełnianiu ust dymem wysuszonych liści. Ale ty chyba nie masz zamiaru wskazywać mi czynności owej, jako jakąś nieznaną mi, nowożytną rozkosz?

— Kto wie? Czyś próbowała?

— Nigdy! Jakto? Należysz do tych, którzy oddają się owemu śmiesznemu nałogowi?

— Sześćdziesiąt razy dziennie. Jest to jedyne stałe zajęcie, którem obarczyłem swój żywot.

— Czy w niem znajdujesz przyjemność?

— Zgodziłbym się raczej przez ty dzień nie spojrzeć nawet na żadną kobietę, aniżeli w owym czasie wyrzec się moich papierosów.

— Przesadzasz!

— Wcale nie!

Zamyśliła się.

— Dobrze więc — daj mi papierosa.

— Proszę, weź go.

— Zapal. Co mam z nim zrobić? Czy dym wciąga się w siebie?

— Dziewczęta młode dmuchają w papieros, lecz to jest niewłaściwem. Znacznie przyjemniej wciągać dym w płuca. Wciągnij pełne usta. Zamknij usta. Jeszcze raz.

W kilka minut Kallisto zamieniła tubkę tureckiego tytoniu w popiół.

Odrzuciła pozostałą część papierosa, na którym róż jej ust zostawił małą, czerwoną plamę.

Nastało milczenie.

Unikała mojego wzroku. Paczkę papierosów wzięła w palce, które nerwowo drgały. Oglądnąwszy ze wszech stron paczkę, zauważyłem, że Kallisto nie ma zamiaru zwrócić mi jej.

Zwolna, z uwagą, jaką tylko zwykło się poświęcać najdroższym przedmiotom położyła ją tuż obok popielniczy, na brzegu otomany, na której ułożyła swoje gibkie, smukłe ciało.

(Koniec).

Nasz dział grafologiczny.

W numerze dzisiejszym otwieramy bezpłatną rubrykę grafologiczną wyłącznie dla prenumeratorów rocznych. Listy do grafologa należy na kopercie oznaczyć: „dla grafologa“ i nie załatwiać w nich innej korespondencyi ani redakcyjnej, ani administracyjnej. — Oceny, które podajemy poniżej, są skromne, zadaniem grafologa nie jest bawić się we wróżby, ale na podstawie pisma uzyskać tylko to, co istotnie stamtąd można wydobyć. Prosimy każdy list opatrzyć pseudonimem, by grafologowi nie zamykać swobody w wypowiadaniu swego sądu.

*

Helena R., Blechnarka. — Nie należy ufać ludziom złym. Jest to lekkomyślne igranie z ogniem w ręku niedoświadczonego dziecka, które nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakiem grozi dla niego blask i płomień. Uczucie, które u Pani tak łatwo obudzić i dopatrywanie się raczej dodatnich jak ujemnych stron w otoczeniu — kosztowały Panią wiele troski i nieprzespanych może nocy. Trochę więcej równowagi i krytycyzmu!

Marya K., Kraków, Pędzichów. — Jest Pani kapryśna i nerwowa. Znać przemęczenie pracą, zabijającą istotne walory serca i duszy. Jeżeli o pani możnaby powiedzieć, że nie liczy się pani z opinią — to zdanie takie oparte byłoby nie na chłodnem wyrozumowaniu tego, co pani czyni i zamierza uczynić, ale poprostu na jakichś dziwnych „odskokach“, z których chwilowo nie zdaje sobie pani sprawy, by wkońcu żałować nagłego porywu.

Maryan P. — Charakter pisma pańskiego zdradza wszelkie cechy, spotykane u człowieka wybitnie nerwowego, który chwilami potrafi być bardzo przykry dla otoczenia, rychło jednak zapomina o nagłych, nieraz nawet logicznie nie umotywowanych wybuchach swej pasyi. Wybitna uczuciowość i wrażliwość, nie przytępiona pracą codzienną. Serce — jak się to mówi — „złote“, mimo przywar, które temu zaprzeczają.

Józek 20. — Humor, który panu towarzyszy w złych i dobrych chwilach życia sprawia, że pokonuje pan przeciwności i zwycięzko wychodzi z zapasów. Inicyatywa umiarkowana, ale spryt duży i oryentacya szybka. Zręcznie prześlizguje się pan w momentach przykrych, powalony lub pchnięty — odzyskuje pan równowagę i pewność siebie, które często biorą u pana za rodzaj powściągliwej bufonady. A szkoda, bo w gruncie rzeczy jest z pana t. zw. „dobre chłopczysko“.

„Wrzos“. — Fantazya bujna, bystrość umysłu i zamiłowanie do nauki. Wrażliwość trochę przeczulona, stąd skłonność do sentymentalizmu. Inteligencya żywa, reagująca śmiało na wszelkie objawy dnia powszedniego.

Stach z Nowego Sącza. — Próbka pisma dość skromna nie pozwala na rozwinięcie dyagnozy. Z tego, co można wyczytać, widać dużo entuzyazmu dla rzeczy pięknych i szlachetnych, silną wolę i chęć przełamania przeszkód, jakie spotyka pan na swej drodze.

Wł. S. w Sosnowcu. — Należy się leczyć. Cisza i spokój potrzebne są panu w równym stopniu — jak pokarm. Nie trzeba się przejmować „byle czem“, więcej mieć odwagi życiowej i wiary we własne siły i talent. Należy pan do tej sfery ludzi, którzy uważają się ciągle za skrzywdzonego nawet tam, gdzie nie istniały wrogie względem pana zamiary. Trzeba oderwać się od pracy, trochę zająć rozrywką umiarkowaną — a przedewszystkiem przestać się uważać za ofiarę losu.

P. Morz., Lwów. — Pismo człowieka chorego. Zgorzkniałość, niecierpliwość, zarozumiałość — podnoszą swe głowy z każdej prawie litery Pańskiego pisma. Pobyt na wsi uleczyłby Pańskie nerwy.

P. M. Now., Milatyn. — Jeżeli pan nie „paskuje“, nie jest kupcem, komiwojażerem, ani producentem wiejskim, — grafolog radziłby panu zająć się jakaś gałęzią handlu. Ludzie, którzy mają takie pismo — dochodzili zawsze do majątku, poprostu są stworzeni na ludzi zamożnych.

Historya kokardy.

Kokarda, której zmiana lub zdjęcie jest dzisiaj symbolem przewrotu państwowego, była niegdyś tylko odznaką partyjną, która do swego obecnego znaczenia doszła dopiero w czasie rewolucyi francuskiej. Wtedy to można było z jej kolorów wywnioskować, do jakiej partyi politycznej należy jej właściciel. Mimo wszystko jednak już przedtem w wieku XVIII odgrywała kokarda wcale wybitną rolę, nie zawsze ograniczającą się do terenu politycznego.

Z notatki, zamieszczonej w jednym z berlińskich dzienników w roku 1777, można się dowiedzieć, że londyńscy eleganci nosili wówczas stale przy kapeluszu kolorową kokardę, jeden nad drugiego sadząc się, by wystąpić z większą i bardziej okazałą. Wiadomość dodaje dalej: „Niektórzy sądzą, że przyczyną tej nowej mody jest przybranie wobec kobiet jak najbardziej bohaterskiego wyglądu. Natomiast młodzi eleganci twierdzą stanowczo, że w tym tylko celu noszą kokardy, aby z ich koloru można było wnioskować o usposobieniu właścicieli dla partyi królewskiej. Inni wreszcie sądzą, że owi młodzi panowie po to wdziewają kokardy, aby przy ich pomocy wyglądać tak, jakby należeli do armii i w ten sposób obronić się przed napaściami na ulicach miasta“.

Dziewczynka-brodacz.



Niezwykłą sensacyę budziła w Wiedniu przed kilku laty młoda, sześcioletnia dziewczynka, pochodząca z W. Ks. Poznańskiego, Jadwiga Kosińska. Główka pokryta jasnemi włosami, jest na twarzy czarno owłosiona; dziewczyna ma dużą brodę i wąsy. Górna część ciała jest wybitnie męskiej budowy, dolna ma miękie linie kobiece. Do trzeciego roku życia nie różniła się niczem od rówieśniczek, potem, po przebyciu ciężkiej choroby rozpoczęła się zupełna zmiana normalnego dotąd procesu rozwojowego. Jadwisia była umysłowo bardzo rozwinięta, przez rok chodziła do szkoły w Poznańskiem. Potem rodzice zatrzymali ją w domu, aby nie narażać jej na szyderstwo towarzyszek szkolnych.

W dziewiczych krajach Afryki.

11 (Dalszy ciąg).

Barthet i Guillois przed wyjazdem swoim do Gabonu przeczytali prawie wszystkie sprawozdania o tej części Afryki i o Congo; niespodziane więc spotkanie owej małpy olbrzymiej, walczącej zwycięsko z lwami i tygrysami, które rozszarpuje potężnymi pazurami swymi, przypominając im groźnie, na jakie niebezpieczeństwa dobrowolnie się narazili, żałować im prawie kazało rzucenia się w tak zuchwałe przedsięwzięcie. Z nieopisaną więc radością usłyszeli w oddali odgłos fal oceanu, uderzających o brzegi. W kwadrans później byli u celu wycieczki swojej.

Z chciwością rzucili długie spojrzenie na Atlantyk, którego niezmierna powłoka ciągnęła się przed nimi do nieskończoności. i nie mogli powstrzymać okrzyku radości, dostrzegłszy o jakieś półtora tysiąca sążni od brzegu okręt, który zdawał się zagradzać ujście Rio das Mortes, a który wedle rozkładu swych świateł przedstawiał się im jako statek wojenny, fregata lub korweta pierwszego rzędu.

— O s a jest złapana... było pierwszą myślą, jakiej sobie wzajemnie udzielili. Z położenia bowiem statku, ustawionego wpoprzek rzeki, niepodobna było przypuszczać, ażeby to miało być skutkiem trafu. Takie przynajmniej zdanie objawił Barthet po długiem zbadaniu położenia.

— Masz słuszność — odpowiedział Guillois — statek tej siły nie będzie się bawił w stawanie na kotwicy tak blizko lądu, co przy nagłem zerwaniu się wiatru mogłoby go narazić na poważne niebezpieczeństwo, gdyby nie miał zamiaru strzeżenia jakiegoś punktu na brzegu.

— Zniknięcie W a l e c z n e j musiało niewątpliwie poruszyć floty państw obu, krążące na tych morzach, i tem słuszniej, że powód jej zniknięcia musi być znany; bitwa bowiem odbyła się zbyt blizko brzegów, aby żadnego świadka nie miała.

— Ach, czemuż nie mamy czółna? — westchnął Guillois — w pół godziny bylibyśmy na pokładzie i...

— O to mniejsza — przerwał mu przyjaciel — jest prosty środek zaradzenia temu.

— Ciekawym jaki?

— Dając statkowi sygnał.

— Jakże chcesz, żeby dostrzegli nas w nocy?

— Słuchaj — odrzekł Barthet promieniejący — znalazłem sposób ocalenia. Wybierzmy punkt nieco wyższy na brzegu, ułożymy na nim stos z gałęzi i liści suchych. Możesz być pewnym, że pierwszy blask płomienia zwróci uwagę statku i że wszystkie lunety nocne na pokładzie skierują się w naszą stronę. Gdy staniemy przed ogniem, sygnały nasze będą widzialne, jak w jasny dzień; nasze ubiory europejskie dadzą do zrozumienia, że żądamy pomocy, i wątpliwości nie ulega, że ze statku wyślą łódź na zwiady.

— Do dzieła więc, przyjacielu — zawołał Guillois, uniesiony myślą blizkiej swobody — do dzieła.

— Tylko spokojnie — inaczej nie będziemy dość ostrożnymi. Zapomniałeś, że nie sami na brzegu jesteśmy?

— Ach, prawda!

— I że musimy poczynać w ten sposób, ażeby, jeśli ogień nasz przez Davisa i ludzi jego na drugim brzegu rzeki spostrzeżony zostanie, nie mogli się oni domyśleć, z kim mają do czynienia. Przypuszczając, że przepłyną rzekę, o czem wątpię, żeby dowiedzieć się, co znaczy ogień na tym punkcie niezamieszkałym, muszą to zrobić z taką ostrożnością, że czółno z okrętu sto razy tymczasem dobije do brzegu. Korzystając więc z zagięcia miejscowości, potrzeba stos nasz ułożyć tak, żeby od morza dobrze był widziany, a przeciwnie od strony rzeki zakryty jak najwięcej.

Odszedłszy więc od lewego brzegu dwaj młodzieńcy natrafili na odpowiednie miejsce. Była to niewielka zatoka, którą odsep piaszczysty zasłaniał od ujścia Rio das Mortes.

W jednej chwili stos był gotów. Zrobili go z gałęzi tamaryndów zarastających zatokę, pokryli suchą trawą, posypali prochem na wierzchu, a za drugiem uderzeniem krzesiwa buchnął płomień wysoko nad stosem suchego chróstu.

Stanąwszy wtedy przed ogniem, zaczęli dawać znaki okrętowi, wabiąc go ku sobie.

Plan Bartheta był nader prosty i udać się musiał. Okręt na morzu będący w ruchu, czy stojący na kotwicy, pilnie ma oko na wszystko, co się wokoło niego dzieje. Najmniejszy zatem objaw na wybrzeżu bywa natychmiast dostrzeżony i doniesiony oficerowi, stojącemu na straży, przez pierwszego człowieka, który objaw ten dostrzeże.

Kilka więc zaledwie upłynęło minut, kiedy rakieta puszczona z pokładu wzniosła się powoli ku niebu, jako odpowiedź na znak z brzegu dany.

Natychmiast Barthet rzucił się ku ognisku, porwał gałąź płonącą i machając nią przez czas pewien w powietrzu, cisnął z całej siły w morze, w którem z syczeniem zagasła.

— Jesteśmy ocaleni! — zawołali obaj przyjaciele, nie posiadając się z radości i rzucając się sobie w objęcia.

W rzeczy samej dostrzegli niebawem jak drobne światełko zsunęło się z pokładu i zaczęło bujać na fali, zbliżając się ku lądowi. Była to niewątpliwie latarnia czółna, wysłanego na zwiady.

Guillois i Barthet z przyspieszonym oddechem śledzili za szybkim jego biegiem. Widząc wreszcie, że przestrzeń dzieląca ich od czółna wynosi ledwie trzysta do czterystu metrów, wykrzyknęli trzykrotnie szalone hura, na które im natychmiast odpowiedziano z czółna.

Ale w tej chwili scena zmieniła się z szybkością błyskawicy. Czterech silnych ludzi wyskoczyło gwałtownie z wysokiej trawy, rzuciło się na młodych przyjaciół, obaliło ich na ziemię, a skrępowawszy im ręce i nogi z nieporównaną zręcznością, szybko poniosło, pędząc cwałem ku rzece.

Obie ofiary z siłą rozpaczy wydawały krzyki o ratunek... Całe to zdarzenie widziano prawdopodobnie z czółna, pędziło bowiem ono po falach niesłychanie szybko pod zdwojonemi uderzeniami wioseł.

— Milczcie panowie — ozwał się głos Davisa, który więźniowie poznali — bo na honor, łby wam roztrzaskam.

Surowy Yankes gotów był to zrobić. Czuli to dobrze Barthet i Guillois, więc pomimo niezachwianej odwagi i wściekłości tłumionej, musieli uledz prawu mocniejszego.

Dobiegłszy do brzegu rzeki, handlarze niewolników rzucili swą zdobycz na dno łodzi i uchwyciwszy wiosła, z całym pośpiechem podążyli ku Osie.

Nie odpłynęli jeszcze i dwustu metrów, kiedy łódź wysłana z okrętu wpływała również na rzekę i żwawo ścigać ich zaczęła. Oficer nią dowodzący, świadek całego wypadku, jakkolwiek nie pojmował jego znaczenia, widząc, że rabusie zmykają po rzece, puścił się za nimi w pogoń bez wahania.

IX.

Pogoń. — Odjazd „Osy". — Niewolnicy.

Davis niebawem dostrzegł, że łódź nieprzyjacielska pędzi szybciej, niż jego. Rzuciwszy rudel, uchwycił lunetę nocną i skwapliwie przyglądał się ścigającemu go czarnemu punktowi, który rósł co chwila.

— Szesnastu wioślarzy przeciw czterem — zawołał — partya nierówna! Za dziesięć minut nas dopędzą... Spróbujmy zrównać szanse.

Ująwszy ster w ręce, młody porucznik zwrócił łódź na prawo, wprost ku lewemu brzegowi rzeki, u którego w kilka chwil stanął.

— Wynieście więźniów na ląd i przywiążcie łódź w sitowiu — krzyknął na ludzi krótko i rozkazująco.

Skoro rozkaz jego spełniono, zwrócił się do Guillois i Bartheta i rzekł:

— Panowie, złamaliście sowo i miałbym prawo zabić was jak psów; widzicie, że jesteśmy ścigani, i że nie mam czasu na długie przemowy. Daję wam do wyboru; albo każę rozwiązać wam nogi i pójdziecie również jak my szybko, bez wydania krzyku, bez wyrze-

czenia jednego słowa, albo natychmiast w łeb wam strzelę.

Mówiąc to, Davis odwiódł kurek rewolweru.

— A więc dobrze, panie, pójdziemy za tobą — odpowiedzieli dwaj młodzieńcy — i przyrzekamy milczenie...

— O przyrzeczenie mniejsza, umiecie je łamać... Wolę wierzyć własnej ostrożności. Ostrzegam więc was, że za najmniejszym szmerem, zrobionym dla zwrócenia na nas uwagi, rewolwer ten zmusi was do milczenia na zawsze. A teraz chłopcy — zawołał do swoich — chodzi tu o głowę wszystkich, więc marsz naprzód i żwawo ku „Osie".

Korsarze byli bezpieczni teraz, bo nie było prawdopodobieństwa, żeby ścigający zeszli z łodzi dla pogoni na lądzie, po nocy i w okolicy nieznanej.

Po godzinie drogi ścieżką, którą szli już Guillois i Barthet, cały orszak ujrzał latarnię „Osy". Ładowanie jej tak śpiesznie się odbywało, że kiedy stanęli na pokładzie, ani jednego murzyna nie było na brzegu.

Wskoczywszy na pokład, Davis pobiegł do kajuty Noëla, który go oczekiwał z gorączkową niecierpliwością.

— Cóż więc? — zapytał go kapitan, ujrzawszy go zaledwie.

— Oto sprzedani jesteśmy niezawodnie. Korweta wojenna, której narodowości rozróżnić nie mogłem, stoi na kotwicy u ujścia Rio das Mortes w ten sposób, że zamyka wyjście na pełne morze.

— Jak daleko stoi od brzegu?

— O półtora tysiąca sążni zaledwie.

Usłyszawszy to Noël, który w ważnych wypadkach nie namyślał się długo, pociągnął za dzwonek.

— Proś panów Vergèsa i Hollowaya do mnie — rzekł do niego.

Chłopiec wybiegł z tym samym pośpiechem, a po chwili ukazali się obaj oficerowie.

— Panowie — rzekł kapitan — korweta blokuje nas przy ujściu; przypuszczam, że znalazł się zdrajca, bądź w Bordeaux, bądź na brzegach Brazylii, bądź tu, który doniósł o celu naszym.

— Czy nie sądzisz, kapitanie — odrzekł Vergès — że jedynym powodem jest bitwa z W a l e c z n ą, która zbyt blizko brzegów się odbyła, aby bez świadków skończyć się miała? W takim razie wszystko się wyjaśnia. Obie floty, utrzymywane przez Francyę i Anglię w zatoce Gwinejskiej, rozbiegły się wzdłuż brzegów, otoczeni więc przez statki strażnicze, zostaliśmy dostrzeżeni przez któryś.

— Możesz mieć i słuszność, panie Vergès — mówił dalej Noël — chodzi jednak teraz przedewszystkiem o ocalenie naszej skóry, która jeszcze nigdy gorzej narażoną nie była i o doprowadzenie do pomyślnego portu obecnego ładunku, który nam wszystkim da możność porzucenia tak niebezpiecznego rzemiosła. Jeżeli do wschodu słońca na próbę ucieczki czekać będziemy, to zginiemy nieuchronnie, bo niema na dzieli, abyśmy drugi raz mieli do walczenia ze starym okrętem o działach mizernych.

— Pomimo nocy — wtrącił Davis — po formie przodu, układzie kadłuba i omasztowaniu poznałem doskonale, że statek ten przeklęty jest pancernikiem pierwszej klasy.

— Więc z twierdzą taką pływającą walczyć niepodobna, a z drugiej strony ucieczka dzienna jest niemożliwą, bylibyśmy bowiem zatopieni przed wydostaniem się z ujścia. Jeżeli statek strażniczy dostrzegł wczoraj o zachodzie słońca wierzchołki masztów naszych, co najprawdopodobniejsza, kiedyśmy przepływali właśnie ujście Rio, to cały dzień musiał się oryentować, sondować brzegi i wejście do rzeki, namyślając się nad tem, czy nas zatopić przy wypływie, czy, jeślibyśmy się długo nie ukazywali, wysadzić na ląd stu lub stupięćdziesięciu ludzi i pochwycić nas stojących na kotwicy. Nie mamy więc czasu do stracenia. Za pół godziny księżyc zajdzie, będzie to chwila wyruszenia. Idźcie więc panowie i starajcie się, żeby wszystko do drogi gotowem było.

— Możemy za pięć minut podnieść kotwicę, jeśli pan zechcesz — odpowiedział Vèrges. — Po rozkazach, jakieś pan wydał, kiedy dwaj murzyni donieśli, że widać statek, przedsięwzięliśmy zawczasu środki uniknięcia wszelkich złych możliwości. Naładowanie b e b a n u od godziny ukończone, a w chwili, kiedyś pan przysłał po nas, Holloway mi oświadczył, że machina jest pod parą.

— Macie wodę?

— Wszystkie skrzynie pełne.

— Dobrze, podnieście kotwicę i czekajcie na moje rozkazy.

Dwaj oficerowie odeszli, salutując po wojskowemu.

— Możesz odejść, Davisie — rzekł Noël, tonem poufnym, z jakim odzywał się niekiedy do młodego porucznika, kiedy byli sami.

— Nie skończyłem raportu — odpowiedział ostatni.

I zaczął opowiadać rozmaite przygody wycieczki swojej.

Po dowiedzeniu się, że Barthet i Guillos zapalili ogień na brzegu i zwabili łódź statku strażniczego na rzekę, gniew kapitana nie miał granic i z początku mówił tylko o powieszeniu ich na maszcie. Gdyby w tej chwili Davis jednem słówkiem ocalić ich próbował, byłoby po nich. Ale znał on dobrze kuzynka swego i nie pisnął nawet, wiedząc doskonale, że najlepszym środkiem zażegnania burzy było pozostawienie jej samej sobie.

Po kilku chwilach w istocie Noël powoli zaczął znowu panować nad sobą, klnąc się jednak piekłem, że zemścić się musi.

Nagle w dziwny sposób uśmiechać się począł.

— Mój drogi Davisie — rzekł do młodzieńca — dowiedz się też, czy to bydlę Gobbi nie jest jeszcze tak pijanem, żeby nie mogło pogadać o interesach, i oświadcz mu, że za chwilę przyjdę do niego. Ale, ale... co zrobiłeś z więźniami?

— Kazałem ich okuć w kajdany, przybywszy na pokład.

— Dobrze. Każ ich tu przyprowadzić.

Wkrótce po odejściu Davisa, Guillois i Barthet ukazali się w kajucie Noëla; obaj ze związanemi rękami.

— Raczcie panowie przebaczyć Davisowi — rzekł do nich kapitan tonem najwyszukańszej grzeczności — jeżeli związać was musiał jak prostych zbrodniarzy. Staracie się tak zręcznie o to, żeby nsa powieszono, że muszę mu darować ten jego brak uprzejmości. Czy wiecie, że nie wiele brakowało do tego, abym was posłał na huśtawkę na końcu najwyższej rei?... Ale bądźcie spokojni, znalazłem sposób załatwienia wszystkiego. Nudzi wam się na pokładzie, nieprawdaż?

Dwaj młodzieńcy, spodziewający się wszystkiego ze strony korsarza, odpowiedzieli jedynie pogardliwem wzruszeniem ramion.

— Więc dobrze, wysadzę was na ląd i to natychmiast.

— Lepiej pan zrobisz, zatrzymując nas przy sobie — odpowiedział Guillois tym samym tonem szyderczej ironii — bo za kilka godzin, o wschodzie słońca, kto wie, czy nie będziesz musiał błagać nas o litość.

— Tak myślicie, szanowni panowie? Macie zapewne na względzie fregatę, zagradzającą ujście rzeki, którą chcieliście na kark mi zwalić... A więc zanim się rozstaniemy, chcę was zupełnie uspokoić co do mego losu. Za kilka chwil księżyc się schowa, a panowie wiecie, jak ciemne są ostaotnie godziny nocy zwrotnikowej. Otóż skorzystamy z nich i popłyniemy w dół rzeki, a papa Cabot zna tak doskonale Rio das Mortes, że płynąłby po niej z zawiązanemi oczyma. Pocichuteńko przesuniemy się o kilkaset sążni od parowca, który się tego ani spodziewa i jutro rano dowie się dopiero, że ptaszek wyleciał z klatki. Co zaś do panów, to nie będziecie nawet mieli pociechy opowiedzenia mu o drodze naszej, bo sami opuścicie tę zatokę od godzin wielu.

(C. d. n.)

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

10 (Ciąg dalszy).

Morrel zarumienił się, albowiem sumienie jego pod względem politycznym nie było zupełnie czyste; nadto zwierzenie się przed nim Dantes'a, z rozmowy z marszałkiem wielkim i kilka słów, które cesarz do niego wyrzekł, zakłócały mu cokolwiek spokojność umysłu, dodał więc z wyrazem największego zajęcia:

— Błagam cię więc panie de Villefort, bądź sprawiedliwym, jak być powinieneś, dobrym jak zawsze cię znamy i uwolń nam co najprędzej tego biednego chłopca.

To uwolń nam zabrzmiało rewolucyjnym dźwiękiem w uszach prokuratora królewskiego.

— Hm! hm! patrzaj — mówił do siebie zcicha — uwolń? czyby ten Dantes miał należeć do jakiej sekty Karbonarów, kiedy jego protektor używa niemyśląc o tem, wyrażenia tak zbiorowego? Mówiono mi zdaje się, że go aresztował komisarz w jakiejś restauracyi, w licznem towarzystwie; w tem coś jest rzeczywiście. Poczem rzekł głośno:

— Panie Morrel, możesz być zupełnie spokojnym, nie naprożno odwołałeś się do mojej sprawiedliwości, byle tylko oskarżony był niewinnym; ale, jeżeli przeciwnie jest winnym, wiesz pan, w jak trudnej epoce żyjemy, pobłażliwość mogłaby się stać gorszącym przykładem; będę więc zmuszony dopełnić jak najściślej swojej powinności.

To powiedziawszy, wszedł we drzwi swojego domu, przytykającego do gmachu sądowego, i z całą powagą i zimną grzecznością pożegnał pana Morrel. Protektor został na miejscu jak skamieniały.

Przedpokój napełniało mnóstwo żandarmów i służby policyjnej. Pośród nich pilnie strzeżony, stał zimno i nieruchomie więzień, a spojrzenia nienawiści okrążały go zewsząd. Villefort mijając przedpokój, rzucił niechętny wzrok na Dantes'a i przy odbieraniu paki papierów, które mu ajent policyjny wręczył, rzekł:

— Niech tu przyprowadzą więźnia.

Przelotne spojrzenie na obwinionego rzucone, dostatecznem było do utworzenia sobie opinii o człowieku, którego miał właśnie indagować. Z tego otwartego i wyniosłego czoła poznał on zdolność pojęcia, odwagę z nieruchomego wzroku i zmarszczonych brwi, szczerość z ust grubych i otwartych, gdzie wyglądały dwa białe jak kość słoniowa szeregi zębów. Pierwsze więc wrażenie Dantes sprawił korzystne. Ale Villefort'owi powtarzano bardzo często, iż nigdy nie można iść za pierwszym popędem uczucia i uprzedzać się do fizyonomii. Przytłumił więc przychylnie obudzające się w nim usposobienie, które cisnęło się do jego serca i aby stamtąd przypuścić szturm do głowy; ułożył przed zwierciadłem twarz — i groźny i ponury zasiadł za stołem sądowym. Wkrótce wszedł Dantes.

Na twarzy młodzieńca malowała się jeszcze bladość obok spokojności i uśmiechu. Skłonił się swemu sędziemu z uprzejmą grzecznościąi i powiódł wzrokiem dokoła, czyli nie ma gdzie usiąść, jakby się znajdował w salonie swego pana i właściciela. Lecz w tym przelocie spostrzegł zimne spojrzenie Villeforta, spojrzenie zwykłe dworakom, którzy nie chcieliby wcale, aby odgadywano ich myśli, i którzy z oka swego starają się zrobić szkło zatarte. Ten wzrok przypomniał mu, iż się znajduje w domu sprawiedliwości, przed osobą zimną i niewzruszoną.

— Kto pan jesteś i jak się nazywasz? — zapytał Villefort, przewracając wręczone mu przez ajenta policyjnego papiery, które w ciągu jednej godziny pomnożyły się w tom znacznej grubości.

— Nazywam się Edmund Dantes — odpowiedział dźwięcznym i spokojnym głosem młodzieniec — jestem porucznikiem statku „Faraon", należącym do panów Morrel i Syn.

— Lat wiele? — pytał dalej Villefort.

— Dziewiętnaście — odpowiedział Dantes.

— Coś pan robił w tej chwili, kiedy cię aresztowano?

— Byłem na uczcie moich własnych zaręczyn — rzekł Dantes głosem nieco wzruszonym. O ile uderzającem było przeciwieństwo tej chwili wesela i radości z wypadkiem w czasie tym zdarzonym, o tyle posępność twarzy Villeforta odbijała od promieniejącej całej istoty Mercedes.

— Byłeś więc na swoich zaręczynach? — rzekł podprokurator, mimowolnie powstając z miejsca.

— Tak panie; mam właśnie zaślubić kobietę, którą kocham od lat trzech.

Jakkolwiek zwykle zimnym był Villefort, ten zbieg szczególny okoliczńscoi uderzył go, a wzruszony głos Dantesa, którego tak pochwycono śród nadziei i szczęścia, obudził w głębi duszy jego współczucie dla obwinionego. I on także ma się żenić, i on także jest w chwili szczęścia i właśnie dlatego zakłucono szczęście jego, aby poszedł zniszczyć wesele człowieka, który tak samo już miał to szczęście uchwycić! To porównanie filozoficznie rozebrane, pomyślał sobie, sprawi wielkie wrażenie za powrotem moim do salonu państwa Saint-Meran. I w czasie, kiedy Dantes oczekiwał dalszych zapytań, Villefort ułożył sobie w głowie szereg wyrażeń antytezie właściwych, z pomocą których mówcy budują swe szumne i brzmiące frazesa, zastępujące tak dobrze i nader często prawdziwą wymowę. Gdy już ta wewnętrzna przygotowawcza mowa była gotową, Villefort uśmiechnął się sam do siebie na wrażenie, jakie sprawić miała, i zwracając dalej mowę do Dantesa, rzekł:

— Mów pan proszę, cóż więcej?

— Co mam mówić? — zapytał Dantes.

— Udziel pan sądowi należytych objaśnień.

— Raczej sąd niech mi raczy wskazać, w jakim względzie chce być objaśnionym, a ja powiem wszystko, co wiem. Jednak winienem sąd uprzedzić, iż zbyt wiele nie wiem, a przynajmniej to, co wiem, niewiele warte.

— Czyś pan służył za czasów Uzurpatora?

— Zostałem wcielony do marynarki wojennej w czasie jego upadku.

— Mówią, iż pan masz zasady wspólne marzycielom — rzekł Villefort, chociaż mu nikt ani słowa w tym przedmiocie nie szepnął; w ten jednak sposób zapytanie to ułożył, jakby miało być już i oskarżeniem.

— Co do moich zasad politycznych, to moja rzecz panie sędzio! Niestety! przecież wstyd mi wyznać, ale nie miałem nigdy tego, co nazywają zasadą. Mam lat dziewiętnaście, jakem to już miał zaszczyt oświadczyć panu; jestem niczem, nie gram żadnej przeznaczonej mi roli; to, czem jestem i czem zostać mam nadzieję, jeśli będzie można, winienem panu Morrel. Zasady więc moje, nie nazywają się politycznemi, ale prywatnemi, ograniczają się na trzech uczuciach. Kocham ojca, szanuję pana Morrel i ubóstwiam Mercedes. Otóż wszystko, co mogę wyznać przed sądem. Widzisz pan dobrodziej, że to nie bardzo dlań zajmujące.

Jednocześnie jak Dantes mówił, Villefort wpatrywał się w twarz jego tak łagodną, otwartą, i zdawał się przypominać sobie słowa Renee, która nieznając obwinionego, prosiła o pobłażanie dla niego. Przy doświadczeniu, jakiego nabrał podprokurator królewski

na przestępcach badanych, w słowach Dantesa widział przekonywujący dowód jego niewinności. W rzeczy samej, młodzieniec ten, raczej dziecko, proste, naturalne, wymowne tą wymową serca, która nie przychodzi na zawołanie, łatwo przyjmujące wrażenie, bo jeszcze dotąd szczęśliwe, bo szczęście złych nawet, może dobrymi uczynić; to też słodyczy tej, wypływającej obficie z niewinnego i bogatego w uczucie łona udzielał i swemu sędziemu. Edmund nie miał w twarzy i spojrzeniu owej ostrości i surowości, z jaką Villefort go traktował, on zdawał się pieścić i samą dobrocią dla swego inkwirenta oddychać.

— Na Boga! — rzecze sam do siebie Villefort — to mi wyborny chłopak, nie będę miał nawet, jak się spodziewam, wiele kłopotu, aby zasłużyć na dobre przyjęcie u mojej Renee, dopełniwszy pierwszego, jakie mi dała zlecenia. To mi zjednać może życzliwość u świata, a miły całusek gdzie w kąciku u Renee. W tej podwójnej nadziei, fizyonomia Villeforta przybrała wyraz łagodności, tak, że kiedy spojrzał okiem myśli na Dantesa, Dantes śledzący również każdą zmianę wyrazu twarzy swego sędziego, zaczął uśmiechać się tak, jak i myśl sędziego uśmiechającą się była.

— Panie Dantes — rzekł Villefort — musisz mieć nieprzyjaciół; czy ich znasz?

Ja nieprzyjaciół? — rzekł Dantes. Ja w mojem położeniu jeszcze tak mało na świecie znaczę, że ich zyskać nie mogłem. Charakter zaś, może nieco za żywy starałem się zawsze ułagadzać, abym był znośniejszym dla moich podwładnych. Mam dziesięciu czy dwunastu majtków pod swojemi rozkazami; racz ich panie wybadać, a oni ci powiedzą, że mnie szanują i kochają, nie jak ojca, bom na to za młody jeszcze, ale jako starszego ich brata.

— Może — rzekł następnie Villefort, w braku nieprzyjaciół, obudziłeś niechęć zazdrosnych? masz zostać kapitanem w 19 roku życia, w twoim stanie, położenie znakomite już bardzo. Masz się ożenić z ładną panienką, którą kochasz, a to jest także jedno z najrzadszych chwil na ziemi. Takie dwa uśmiechy losu, mogły ci narobić zazdrosnych.

— Tak jest, masz pan dobrodziej słuszność; znasz widzę lepiej jak ja ludzi; to być bardzo może. Ale jeżeli ci zazdrośni są z liczby moich przyjaciół, przyznam się szczerze, że wolałbym ich nie znać, jak poznawszy, być zmuszonym do nienawiści dla nich.

— Mylisz się pan, potrzeba ile możności starać się poznać dokładnie wszystkich i wszystko w około siebie. Zdajesz mi się w rzeczy samej tak godnym szacunku młodzieńcem, że chciałbym dla ciebie przestąpić zwykłe przepisy sprawiedliwości i pomódz ci wyjaśnienia twoich stosunków — przeczytam ci więc denuncyacyę, którą mi przysłano. Oto pismo oskarżające: czy znasz tę rękę?

Villefort wyjął list z kieszeni, oddał go Dantesowi. Dantes przeczytał, chmura zasłoniła jego czoło i rzekł:

— Nie panie, nie znam tego pisma, zdaje się, że udane, chociaż bardzo biegły i śmiały pociąg. Widzę ja tu wprawną rękę. Jakież to szczęście dla mnie, mieć do czynienia z takim jak pan dobrodziej człowiekiem, i wzrokiem pełnym wdzięczności spojrzał na Villefort'a. Alež ten co mi zazdrości, jest widać prawdziwym moim nieprzyjacielem.

W błyskawicy, która zajaśniała w oczach młodzieńca, kiedy wymawiał te słowa, Villefort mógł dostrzedz całą gwałtowność i siłę energii ukrytą pod tą poprzednio okazaną słodyczą i łagodnością.

— Teraz więc proszę cię — rzekł podprokurator, odpowiadaj mi pan szczerze, nie jako winowajca sędziemu, lecz jako człowiek zostający w przykrem położeniu odpowiada drugiemu, co się losem jego chce zająć, czy jest co prawdy w tem oskarżeniu bezimiennem?

Z niechęcią Villefort rzucił na biurko papier, który mu Dantes zwrócił.

— Wszystko prawda, i wszystko fałsz: bo oto przysięgam na honor marynarza, na miłość moją dla Mercedes, na życie ojca mojego, że co powiem, jest najczystszą prawdą.

— Mów pan — rzekł głośno Villefort, potem z cicha dodał: Ah, gdyby Renee mogła mię widzieć, o czuję, że byłaby ze mnie zadowolona i nie nazywałaby mię katem.

— A więc posłuchaj pan: kiedyśmy opuścili Neapol, kapitan Leclerc zapadł ciężko na gorączkę trawiącą, a ponieważ nie mieliśmy lekarza na naszym statku, on zaś nie chciał zatrzymywać się ani chwili na żadnym brzegu, spiesząc się co najprędzej do Elby, słabość doszła do najwyższego stopnia i ku schyłkowi dnia trzeciego, czując się blizkim śmierci, przywołał mię do siebie. — Mój drogi Dantes'ie, rzekł do mnie, przysiąż mi na swój honor, że dopełnisz co ci powiem; idzie tu o rzecz największej wagi. — Przysięgam ci kapitanie — odpowiedziałem. — Dobrze; ponieważ po mojej śmierci dowództwo okrętu przechodzi na ciebie jako na drugiego z porządku, obejmiesz więc dowództwo to, zawiniesz przy wyspie Elbie, wylądujesz w Porto-Ferajo, udasz się do wielkiego marszałka państwa i oddasz mu ten list; być może, że ci tam dadzą odpowiedź i powierzą ci jakieś zlecenie. Zlecenie to, które ja musiałbym dopełnić, ty Dantes'ie dopełnisz za mnie, a zasługa i cześć spadną na ciebie. — Dobrze, kapitanie, ale być może, że tam nie tak łatwo widzieć się z wielkim marszałkiem państwa, jak kapitan myślisz. — Wówczas ten oto pierścionek każesz mu oddać, a wszelkie trudności będą usunięte. — To mówiąc, oddał mi pierścionek i w parę godzin później wpadł w bezprzytomność, a nazajutrz umarł.

— Jakżeś sobie potem postąpił?

— Tak jak byłem powinien, jakby każdy będąc na mojem miejscu był zrobił. W każdym razie, prośby umierającego są święte; a u marynarzy prośby zwierzchnika są rozkazem, których dopełnić należy. Skierować więc kazałem drogę do wyspy Elby, gdziem na drugi dzień przybył, zameldowałem wszystkich na brzegu, sam zaś wysiadłem na ląd. Jakem przewidział, znalazły się trudności w przedstawieniu mnie wielkiemu marszałkowi państwa; przesłałem mu więc pierścień, po którym miano mnie poznać i wszystkie drzwi stanęły mi otworem. Marszałek przyjął mnie, dał kilka zapytań względem śmierci kapitana Lerclerc, i wręczył mi, jak tenże przewidział, list z obowiązkiem odwiezienia go osobiście do Paryża. Przyrzekłem, ponieważ to należało niemniej do wypełnienia rozkazów mojego kapitana; wróciłem na statek i kazałem płynąć do Marsylii, gdziem wczoraj właśnie przybył; załatwiłem co rychlej wszystkie formalności na komorze i w kwarantannie, i pobiegłem zobaczyć moją narzeczoną, którą znalazłem piękniejszą jeszcze i bardziej mnie kochającą jak przedtem. Dzięki panu Morrel, formalności kościelnych dopełniono prędko nad wszelkie nasze spodziewanie, potem, jak to już panu wiadomo, byłem na uczcie moich zaręczyn, za godzinę miałem się już żenić, a jutro odjechać do Paryża, gdy oto wskutek denuncyacyi, którą pan dobrodziej, równie jak ja zdajesz się pogardzać, zostałem aresztowany.

— Tak jest, widzę, mówił ciszej Villefort, że wszystko to może być i jest nawet prawdą, i jeżeli winnym jesteś, to przez nierozwagę: byle tylko ta nierozwaga była dostatecznie uprawnioną i usprawiedliwioną rozkazami twego kapitana: ta jedna okoliczność trapi mnie nieco. Dajże mi pan ten list, który ci wręczono na

Elbie. I proszę mi tylko dać słowo, że na każde nasze wezwanie stawisz się, teraz zaś możesz pójść do swoich.

— Jestem więc wolny? — zawołał Dantes w najwyższem uniesieniu radości.

— Jesteś wolny, daj mi tylko ten list.

— Musisz go pan dobrodziej mieć u siebie, albowiem odebrano mi go wraz z innemi papierami. i zdaje mi się, że oto widzę go w tej pace.

— Zaraz, zaraz — rzekł podprokurator do Dantesa, zabierającego się już do wyjścia, — do kogo list ten był adresowany?

— Do pana Nortier. przy ulicy Coq-Herom w Paryżu — odrzekł Dantes.

Na te słowa, Villefort jakby piorunem rażony powstał nagle, porwał za pakiet papierów odebranych u Dantesa i przewracając go szybko, wydobył list ów fatalny, na którego widok wzrok jego objawił niewymowną trwogę.

— Nortier, ulica Coq-Herom, Nro 13, czytał blednąc coraz bardziej.

— Tak jest, panie dobrodzieju — odpowiedział Dantes zdziwiony — czy go pan znasz?

— Nie mój panie — odrzekł żywo Villefort—wierny poddany króla nie może znać spiskowych.

— Więc to ma być spisek? — wykrzyknął Dantes przejęty trwogą większą jak w początkach nawet, po pierwszej chwili nadziei wolności. — Co bądź panie dobrodzieju, powiedziałem mu już, żem nie znał zupełnie treści listu, który odwoziłem.

— Tak — odpowie przytłumionym głosem Villefort — ale pan znasz nazwisko tego, do którego był adresowany?

— Nie mogłem nie znać, bo jakżebym list oddał, ale też nic więcej.

— Nikomu listu tego nie pokazywałeś? — rzekł Villefort — i w miarę jak odczytywał list bladość występowała na twarz.

— Nikomu panie, słowem honoru rzczę.

— I nikt nic nie wie, żeś miał u siebie list do Noirtier adresowany z wyspy Elby.

— Nikt, oprócz tego, który mi go oddał.

— I tak wiele — odrzekł Villefort.

Im bliżej Villefort był końca listu, tem czoło jego powlekało się bardziej ponurością; usta zbielałe, ręce drżące, oczy zaognione, najokropniejszą obawą przejmowały umysł Dantesa.

Przeczytawszy list Villefort opuścił głowę na ręce i tak chwilę w odrętwieniu pozostał.

— Ah Boże mój, cóż ci jest panie — zawołał bojaźliwie Dantes.

Villefort nie odpowiedział ani słowa, aż po kilku chwilach podniósł głowę i na twarzy widać było śmiertelną bladość i niemoc zupełną, otworzył list znowu i odczytał raz jeszcze.

— Mówisz pan tedy, że nie wiesz wcale, co w sobie ten list zawiera? — wznowił Villefort.

— Na honor, powtarzam, iż nic zgoła nie wiem. Ale co ci jest drogi panie? Mój Boże, co tobie! zdajesz się słaby, czy mam zadzwonić lub zawołać kogo.

— Nie potrzeba — rzekł Villefort podnosząc się żywo, nie ruszaj się pan z miejsca, ani się odzywaj, ja tu rozkazuję nie pan.

— Panie — rzekł Dantes urażony, chciałem zawołać o pomoc dla niego, racz mi wybaczyć przez wzgląd na moje chęci.

— Ja nikogo nie potrzebuję, to chwilowe tylko osłabienie i nic więcej, myśl pan o sobie raczej, nie o mnie — odpowiadaj.

Dantes oczekiwał na pytania, które zdawało się. że po tym wstępie powinny się były wznowić, ale napróżno; Villefort oparł się w krześle, potarł czoło zlodowaciałą ręką strumieniami potu oblane i jeszcze raz zabrał się do odczytania listu.

— A, jeśli on wie co ten list zawiera, — mówił sam do siebie — jeśli się jeszcze dowie, że Noirtier jest ojcem Villeforta, jestem zgubiony na zawsze. ,

Przez cały ciąg tej z sobą rozmowy, wpatrywał się w Edmunda, jakby wzrokiem swym chciał przebić tę niewidzialną zasłonę, okrywającą w sercu tajemnice, których usta zdradzić nie chcą.

, — O! nie ma się co wahać — zawołał nagle — jeden jest tylko środek.

— Ależ na imię Boga, mój panie — odrzekł nieszczęśliwy młodzieniec— jeżeli wątpisz o mnie, jeżeli masz jakiekolwiek podejrzenie, pytaj mnie, badaj, gotów jestem na wszystko ci odpowiedzieć.

Vilefort usiłując przemódz swoje zmięszanie, rzekł tonem, któremu chciał nadać wyraz spokojności:

— Panie, trudne obowiązki ciążą na mnie, jako na indagującym; nie mogę więc, jakem się w początku spodziewał, uwolnić pana w tej chwili; muszę przedsięwziąść stosowne potemu środki, muszę naradzić się z sędzią instrukcyjnym: przecież widziałeś pan, jakem z nim postępował.

— O tak, widziałem — zawołał Dantes — i jestem ci panie wdzięczen za twoją dobroć; byłeś dla mnie raczej przyjacielem jak sędzią.

— A więc, uważ pan, muszę go jakiś czas trzymać jako więźnia, jaknajkrócej tylko można, największa wina, jaka ciąży na panu, jest ten oto list, i widzisz...

Villefort zbliżył się do kominka, rzucił list w ogień i patrzył nań póki się na popiół nie zamienił.

— Widzisz pan — rzekł następnie — żem go zniszczył.

— O panie, — zawołał Dantes — ty jesteś więcej jak sprawiedliwością uosobioną, tyś samą dobrocią.

— Ale słuchaj; potem coś tu widział, powinieneś wnosić, rozumiesz pan, że mnie można zaufać, nieprawdaż?

— A panie! rozkaż a wszystko co każesz zrobię.

— Nie — rzekł Villtfort zbliżając się do młodzieńca —nie, ja ci nie myślę rozkazywać. rozumiesz, ja ci tylko podam rady.

— Mów, a zastosuję się do nich jak do rozkazów.

— Dziś, musisz tu w tym gmachu sądowym pozostać aż do wieczora; być może, że cię jeszcze kto inny prócz mnie badać będzie. Mów tak wszystko, jakeś tu do mnie mówił, ale o liście tym ani słowa.

— Przyrzekam panu najuroczyściej.

Villefort tedy zdawał się błagać, obwiniony zaś uspakajać sędziego.

— Uważasz — rzecze Villefort spoglądając na popioły, co jeszcze zachowały formę listu i ulatywały nad płomitniem — uważasz, że list został zniszczony. ty tylko i ja wiemy, że był; już ci go nie pokażą jako dowodu twej winy. zaprzeczaj więc zupełnie, gdyby ci o nim mówiono, zaprzeczaj śmiało a będziesz ocalony.

— Zaprę się go zupełnie. bądź pan dobrodziej spokojny — odpowiedział Dantes.

— Dobrze, pamiętaj, — rzecze Villefort sięgając ręką do sznurka od dzwonka.

Następnie zatrzymawszy się chwilę, pytał:

— Czy więcej żadnego nie miałeś listu?

— Żadnego.

— Przysięgnij.

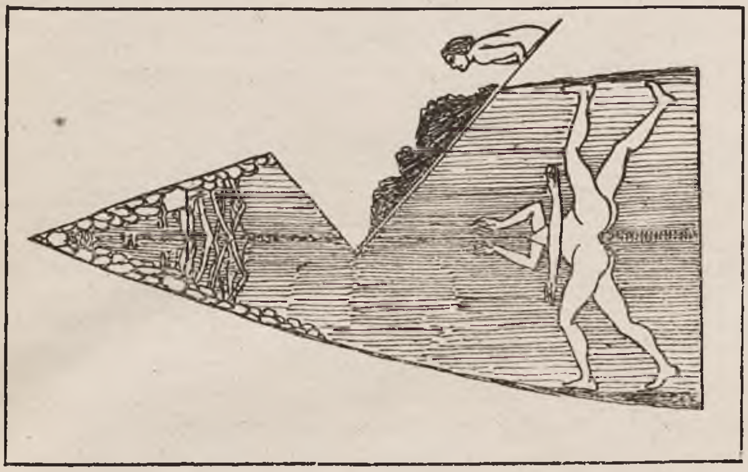
Dantes wzniósł rękę na znak przysięgi.

— Przysięgam — rzekł.

Głos dzwonka rozległ się i wszedł komisarz policyi. Villefort zbliżył się do niego i kilka słów powiedział mu do ucha. Komisarz odpowiedział prostem skinieniem głowy. (C. d. n.)

Złudzenie wzroku pod wodą.

Na granicy dwóch ośrodków przeźroczystych, jak powietrze-szkło, powietrze-woda, szkło-woda, próżnia-szkło, światło odbija się tylko częściowo, reszta wnika w ośrodek drugi. Przy tem przejściu zachodzi znowu znaczne zboczenie od prawa prostolinijnego ruchu: promienie — o ile o promieniach może być mowa — zmieniają nagle kierunek biegu, załamują się na granicy obu ciał. Zjawisko to nazywamy załamywaniem albo refrakcyą. Tem się tłumaczy, że patrząc z zewnętrz na dno naczynia, napełnionego woda, widzimy przedmiot, leżący na dnie, w innym kierunku, aniżeli rzeczywiście się znajduje; że dno rzeki wydaje się płytszem, niż jest istotnie; że laska zanurzona ukośnie w wodę, przedstawia się jakby złamana u powierzchni wody i t. p. Kierunki promieni padających i załamanych określa się przez kąty, zawsze mniejsze od 90°, jakie one zawierają z normalną powierzchni łamiącej, która może być płaska albo zakrzywiona; pierwszy nazywamy „kątem padania“, drugi „kątem załamania“.



Człowiek kąpiący się widziany z pod wody.

HUMOR i SATYRA.

Flakonik małżeńskiej wierności.

W Berlinie rozegrał się ciekawy proces rozwodowy, którego motywy, jak gdyby żywcem zostały wzięte z jakiejś fanastycznej powieści. Oto pewna, kochająca się młoda para, odbywając podróż poślubną, spotkała w jakiejś zapadłej, górskiej wioszczynie tajemniczą staruchę, która jej sprzedała flakonik, napełniony jasnym płynem, mającym rzekomo tę nadprzyrodzoną własność, że w razie zdrady któregokolwiek z małżonków, stawał się czarnym. Młodzi ludzie nie przywiązywali wiary do tych baśni, postawili jednak flakonik za powrotem do domu w honorowem miejscu, jako miłą pamiątkę miodowych miesięcy. Po dwóch latach najszczęśliwszego pożycia wyjechała żona na pewien czas do swej rodziny, a mąż tymczasem począł używać słomianego wdowieństwa w całem tego słowa znaczeniu. W przeddzień powrotu żony, zabawiając się w gronie przyjaciół i przyjaciółek, opowiedział im historyę tajemniczego flakonika małżeńskiej wierności, pokpiwając z niego, że zachował swą nieposzlakowaną barwę. Wtedy jeden z dowcipnisiów, chcąc żonie wypłatać figla, wylał z niego ów jasny płyn, nalewając w zamian atramentu. Nazajutrz powróciła żona, właśnie pod chwilową nieobecność męża. Jakież było jednak jego zdumienie, gdy witając się z żoną, dziwnie jakoś pomieszaną, rzucił spojrzenie na flakonik. Znajdowała się w nim czysta woda!

Na tej podstawie, nie mając żadnych innych dowodów zdrady, wytoczył żonie proces rozwodowy.

Flakonik dobrze odegrał swą rolę, tylko nie przez zczernienie, lecz przez zjaśnienie swej zawartości.

Mały fejletonik.

Co to jest?

Czy jest w sukni nowiuteńkiej
Czy całkiem podarta,
Dla starego konesera
Jest nie wiele warta.

Ciągłym zmianom swego losu,
Jest jednako rada,
Czasem w górę się podnosi
Czasem nizko spada.

A choć taki jest ubogi
Jej zalet register,
Często zgra się dla niej bankier
Wywróci minister.

Tylko w bardzo ciasnem kółku
Potrafi być panią,
Za granicą nie ma miru
Nikt nic nie da za nią.

Gdy się starga w wielu rękach
Nie trzeba być majstrem,
By ją zreparować gumą,
Albo innym klajstrem.

Łatwo poznać, że istota
Na którą rym sarka,
To krajowa, nasza, swojska
Papierowa marka!

Ostatnia koszula.

(Aktualny obrazek z chwili bieżącej).

Do jednego ze znanych krakowskich internistów przybyła onegdaj pewna, młoda zresztą jeszcze dama, aby zasięgnąć porady lekarskiej w sprawie dotkliwych niedomagań piersiowych. Zawezwana po chwili czekania do gabinetu, weszła spokojnie i w kilku słowach opisała lekarzowi stan swego zdrowia.

— Proszę się rozebrać, gdyż muszę panią poddać konsultacyi — odezwał się doktór, wysłuchawszy uważnie słów swej pacyentki.

— Czy koniecznie muszę się rozebrać? — zapytała dama z dziwnem bądź co bądź zafrasowaniem.

— Rozumie się, gdyż inaczej nie znając dokładnie choroby, nie mógłbym znaleźć odpowiednich środków zaradczych.

— Kiedy... bo proszę pana doktora... ja... nie mogę się rozebrać!

— Dlaczego?

— Daję słowo, że nie mogę... przepraszam bardzo... zgłoszę się kiedyindziej!

Doktór spojrzał zainteresowany na swą pacyentkę... Teraz dopiero dostrzegł u niej ogromne zdenerwowanie, maskowane tłumionym niepokojem i udaną nonszalancyą towarzyską. Po krótkiej chwili zbliżył się do niej z dobrodusznym uśmiechem:

— Co pani jest? Proszę nie zwlekać z poradą i otwarcie wyznać swą tajemnicę... My doktorzy jesteśmy jak spowiednicy!... Proszę rozpiąć bluzkę na piersiach!...

— Nie mogę, na prawdę nie mogę, panie doktorze... — brzmiała płaczliwym głosem odpowiedź damy.

— Dlaczego?

— ...bo nie mam wcale na sobie koszuli... a ja...

— I z tego sobie pani coś robi — przerwał doktór żartobliwie — w samym tylko dniu dzisiejszym miałem już u siebie cztery takie pacyentki bez koszul!

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.